



Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

—H—
Prenumerata wynosi:

rocznie 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

Odstąpienie pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu.

Piękny i bardzo wzniosły czyn dokonała patriotyczna ludność Tarnobrzega, stawiając pomnik nieśmiertelnemu bohaterowi w siermiędze, Bartoszowi Głowackiemu. Czyn ten udowadnia, iż wierzymy święcie w odrodzenie naszej Ojczyzny, a dla tych, którzy w jej obronie walczyli, cześć i miłość w sercach naszych nigdy nie wygaśnie. Uroczystość wczesnym rankiem zapowiedziały wystrzały z moździerzy, które głośnie echem oznajmiły całej okolicy, że nadszedł wielki dzień oddania czei i hołdu bohaterowi narodowemu. Po ulicach Tarnobrzega i Dzikowa wczesnym rankiem krążyła „Harmonia” i jako pobudkę odgrywała wieniec z pieśni narodowych zebranych.

Miasto ożywiło się. Ze wszystkich stron drogami i ścieżkami napływają gromady ludu, w świąteczne ubranego szaty. W mieście zgromadzili się posłowie i delegaci: poseł Żardecki, Bojko, Wójcik, Stapiński, Tytus Bujnowski, Włodek, Dr. Bernackiewicz, Krempa,

Wiącek z Machowa, Ptak z Bieńczyc, Słomka i inni.

O godzinie 7 rano miejscowi Sokoli z muzyką wyszli na dworzec kolejowy dla powitania przyjezdnych Sokołów i inną publiczność. Nadjechało dwa pociągi, z których wysypały się tłumy ludu, Sokołów i Sokolic. Przybyli delegaci ze Lwowa, Krakowa, Mielca, Tuchowa, Kolbuszowy, Leżajska, Rzeszowa, Bieńczyc (Sokoli włościanie), Ropczyc, Niska i razem z Tarnobrzega stanowili barwną masę. Na dźwięk trąbki w jednej chwili szeregi się poformowały i czwórkami z muzyką na czele, otoczeni gromadami ludu, niosącego wieńce, ruszyli drogą do miasta. Tuż za muzyką na czele Sokołów, postępowało sześć młodych Sokolic w barwnych strojach z Mielca.

Kościół i ementarz około kościoła przepełniony był ludem. Sokoli w środku nawy zajęli miejsca, po bokach posłowie, delegaci, obywatelstwo okoliczne, hr. Stanisław i Zdzisław Tarnowscy z rodzinami, marszałek powiatu Horodyński, wicemarszałek Surowiecki i wielu innych.

Nabożeństwo odprawił ks. prowincyał Bielas, do Mszy św. służyło dwóch Sokołów, w czasie Mszy św. śpiewały chóry Sokołów

z Tarnobrzega i Niska, kazanie wygłosił ks. prałat Gromnicki na zewnątrz kościoła.

Po nabożeństwie wyruszył pochód przed pomnik Bartosza Głowackiego, który postawiony jest na placu głównym wprost kościoła i wznosi się nad wszystkimi domkami.

Koło pomnika zgromadziła się Rada miejska tarnobrzeka, Sokoli, posłowie i delegaci z wieńcami z zaboru rosyjskiego. Porządek utrzymywał Komitet przy pomocy straży ochotniczej. Po za ogrodzeniem zgromadziło się tysiące ludzi, kosynierzy, którymi dowodził Wiącek z Machowa i liczne bandery konnych Krakusów z lancami, pod dowództwem pośła Krempy. Chór sokoli odśpiewał pieśń *Gaude Mater*, potem przewodniczący Komitetu, włościanin Jan Słomka, wszedł na mównicę. Oddając miastu na własność wzniezione pomnik, przypomniat mowca, że dzień ten jest świętem narodowem, a zarazem i świętem włościańskim. Przez pomnik ten składamy hołd bohaterowi, który za Polskę, za jej niepodległość i całość wojował, a razem zaznaczamy, że budzący się lud chce naśladować tego bohatera i pracować dla wspólnej sprawy. Patrząc na ten wzór, robimy postępy w życiu politycznym i obywatelskim i za wskazanie naszej przyszłej pracy bierzemy hasło: „Za Wiarę i Ojczyznę“. Kończąc swą mowę, oddał przedstawicielom miasta Tarnobrzega pomnik, z którego opadły zasłony. Muzyka zagrała pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“, którą, odstoniwszy głowy, pochwycił tysięczny tłum i hymn wiary popłynął w błękity i rozniósł się echem poza Wisłę.

Pomnik przedstawia się wspaniale i robi imponujące wrażenie. Bartosz Głowacki z podniesioną kosą w górę, będzie przypominał, że w poświęceniu jest siła i moc, krzepiąca wątłe siły naszej Ojczyzny. Orzeł rwący się do lotu z rozwiniętymi skrzydłami, jest odbiciem naszej teraźniejszości. Pomnik jest dziełem W. Korpala, na frontowej ścianie jest napis: Bartoszowi Głowackiemu Naród polski. staraniem ludu powiatu tarnobrzeka. Popołudniu na gościncu, wiodącym w stronę lasu, wszczął się ożywiony ruch, spieszyli wszyscy na widowisko odbyć się mające, a które miało przypomnieć „Bitwę pod Racławicami“. Pod lasem urządzono obozowisko konnych Krakusów i ułanów. Na odgłos trąbki, obóz zawrzał gorączkowym życiem. Ciskają się jedni do koni, inni po lesie harcują, a pośród drzew wysokiego sosno-

wego boru migocą czerwono-białe chorągiewki, ozłoczone promieniami słońca. Na drugi sygnał z lasu wysypała się piechota, szybko formując szyki i spiesznie maszerując naprzód. Za piechotą posuwają się zwartą ławą kosynierzy. Moskale już dawno zajęli stanowisko pod lasem.

Za trzecim sygnałem wypadła konnica i drobnym truchtem starała się dogonić piechotę. Zapal bojowy ogarnął wszystkich. Rozpoczyna się bitwa, konnica spieszy na ukryte działa. Huk wystrzałów armatnich, jeden, drugi, trzeci, coraz szybszy, a po chwili zmieszane oddziały Krakusów w popłochu uciekają. Na brzeg lasu wysuwają się oddziały kosynierów i szykują się w zwarte szeregi.

Piechota spieszy w głąb pola i rozsypuje się w tyralierkę. Ze wzgórza zjeżdża wóz dla rannych. Wśród piechoty widać padające na ziemię trupy. Konnica poraz wtóry szykuje się i wysuwa naprzód, by pochwycić nieprzyjacielskie działa. Trąbka dzwoni do ataku. Do wozu znoszą rannych. Rozbita konnica poraz wtóry w popłochu powraca z pola walki. „Formuj się! szeregi naprzód!“ rozlega się głos dowódcy kosynierów. I włościańskie wojsko błyszczać kosami, pędzi biegiem na ukrytego wroga. Huk strzałów, i na komendę szeregi padają na ziemię, po chwili zrywają się i biegną dalej, zostawiając na placu kilku poległych. Kosy błyszczą się w słońcu i coraz bliżej lasu. Huk armat coraz częstszy, wreszcie cichnie. W oddali widać walkę pomieszaną, wzniezione kosy się srebrzą i nastaje cisza chwilowa. Nagle rozlega się śpiew: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie traćwa nadziei, Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi!“ To włościaństwo polskie okrzykuje zwycięstwo nad wrogiem, wiodąc rosyjskie jeńce i wlokąc armaty. Tryumfalnej pieśni wtórowały tłumy i gromkie okrzyki zachwyconych widzów, zalewających nieprzejrzaną falą wzgórza okoliczne. Tak się odbyła bitwa Racławicka na polach Dzi-kowskich.



OBRAZEK.

Strudzony dzień skłaniał się ku spoczynkowi.

Wieczór zapadał — cichy wieczór wiosenny, pełen słodyczy, poddający się pokornie wyrokom Boga Wszechmocnego...

Z daleka dolatywały mieszane echa śpiewów chóralnych lub pojedynczych głosów, powracających z pracy włościan. Młode, świeże łączyły się ze starymi, tworząc harmonijną melodyę, którą echo roznosiło daleko, odbijając się od gór, gubiąc się w lasach.

Roje ptasząt świągotały, żaby rechotały, idąc w zawody z ćwierkaniem koników polnych; wszelkie odgłosy natury zlewały się z porykiwaniem bydła, zdążającego leniwie do obory i spoczynku. Czuć było w powietrzu ulgę po spełnionych obowiązkach.

Wszechświat zanosił modły do swego Pana przed ułożeniem się do snu, przed nieznanem jutrem.

Za chwilę zaroją się zagrody, chałupy, silnem tętnem pulsującego życia.

Po ostrej zimie zawitała nareszcie wiosna, wlewając otuchę i nadzieję lepszej przyszłości.

Na przyzbie jednego z domostw siedziało dwoje staruszków. Siwi, jak gołąbki, z wybladłymi oczyma, blademi usty, z rozkoszą wciągali ożywcze powietrze w sterane płuca. Siedzieli blisko siebie, trzymając się za ręce i uśmiechali się błogo, pieszcząc wzrokiem wszystko, co się przed nimi roztaczało.

I oni odurzeni byli — i na nich działała wiosna.

— Pamiętasz, stara, jak my za chlebem powędrowali do Hameryki?! Jakie tam były dziwy! Jechali my bez wielgie morze, w które co wieczór słońce się chowało. Ludzie nie po naszymu gadali, nie mogli my tam nawyknąć, haj nie! Wyrwali się my z płaczem i modlitwą do naszej Polski, Matki i Karmicielki! Lepiej u siebie biedować, niż u obcych harować.

— Harowali, bo harowali, ale my młodzi byli i okrutnie się miłowali, bez co świata bożego nie widzieli. Ot, zwyczajnie w młodości! Dziękować Bogu, jesteśmy w domu u dzieci i wnuków. Pan Jezus pozwolił na swoim groncie umierać.

— Tak, łaska Pańska wielga!

— My swoje odżyli, czas już odejść — cni nam się do Nieba.

Chwilę pogrążeni byli w zadumie —

przypominali sobie młode lata, pełne uciech i trosk naprzemian. Byli silni i zdrowi. Trzebiąc i karczując olbrzymie lasy z piosnką na ustach, doszli do coraz większego dobrobytu. Wreszcie zebrawszy pewną sumę pieniędzy, powrócili do swoich, bogaci w doświadczenie, z zdwojonem przywiązaniem do Kościoła i Ojczyzny. Niegorzej z sobą żyli, dzieci poženili i powydawali za mąż w kraju, wnuki do chrztu św. trzymali, pracowali do ostatka sił.

Z za chmur wyłonił się jasny sierp księżyca, mrok objął ziemię w swoje objęcia, z nim nastąpiła cisza taka błoga, a uroczysta.

W tem na niebie zajaśniała pierwsza gwiazda, mrugała na staruszków, świeciła, skrzyła się gwiazda wieczorna.

— Widzisz to światelko? Aniołowie zapalają je dla Przenajświętszej Pani, co w purpurze po prawicy Boga siedzi, żeby Jej jaśnie było.

— Hej — a aniołkowie przez te lampeczki na nas patrzą z nieba i strzegą dobrych, żeby im się co złego nie stało.

— O la Boga! Jaki ten świat piękny! Jaki Bóg dobry, że go na pociechę ludziom stworzył!

I oboje przytuleni podnieśli głowy do góry, wpatrzeni w tę gwiazdę zbawienia. Zapomnieli o istnieniu, świat cały znikł im z przed oczu. Dusze ich wzniosły się w przestworze, wolno bujały, a duże łzy toczyły się zwolna po zmarszczonych twarzach, spadając na tę świętą rodzinną ziemię, która prócz krwi dużo wsiąknęła serdecznego potu.

Janina Giżycka.



Z wędrowek po Polsce.

Wilno.

Któż z nas nie słyszał o Litwie, tym nieczęśliwym kraju gnębiomym niecną przemocą Moskali? Gdy Polskę naszą wrogowie rozszarpali, całą Litwę zagarnęła Moskwa. Ogłoszono tę piękną a żyzną ziemię za kraj odwiecznie rosyjski i postanowiono zniszczyć w nim wszelkie ślady świetnej przeszłości polskiej, wytępić mowę polską, a św. wiarę naszą zastąpić carskiem prawosławiem. Burzono świątynie Pańskie, a na ich miejsce stawiano schyzmatyczne cerkwie; zacnych i świę-

tobliwych kapłanów i zakonników wywożono hen, daleko, w śniegi Sybiru. W szkołach zabroniono uczyć mowy przodków naszych, za jeden wyraz w polskim wypowiedziany języku, skazywano dzieci na chłostę i ze szkół wydalano. A gdy przyszło powstanie w r. 1863, najgorsze nastały czasy na Litwie. Okrutny siepacz moskiewski, Murawiew, wyróżnął w pień całe wsie, dzieci i niewiast nie oszczędzano; palił piękne sioła, dzielnych obrońców ojczyzny skazywał na szubienice lub na gorsze od śmierci roboty w kopalniach Sybiru. I dziś straszne bezprawia wróg na nas popełnia. Setki szpiegów i żandarmów postawił car, by pilnowali nieszczęsny lud polski, by gnębili go, nawracali na swą wiarę schyzmatyczną, aby o ojczyźnie zapomnieli. Największym miastem na Litwie, jej stolicą, jest Wilno. Piękne to miasto a smutne. Częste pożogi obracały go nieraz w perzynę, morowe powietrze dziesiątkowało jej ludność, Niemcy wyścielali trupem ulice, Szwedzi rabowali i burzyli, ale żaden z tych najeźdźców nie sprawił tylu klęsk, co Moskale. O tych wypadkach, o tem, jak powstało Wilno i jakie przechodziło nieszczęścia, postaram się pokrótce opowiedzieć.

Już za dawnych czasów, jeszcze przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej, była na tem miejscu gdzie Wilno się rozpościera, wielka świątynia pogańska. Stała na wysokiej górze, wśród lasów niedostępnych i bagnisk niezgłębionych. Jak w Krakowie na Wawelu, tak i w tej górze wileńskiej, była głęboka jama, a w niej, jak mówi stare podanie, mieszkał smok, zwany Bazyliszkiem. Straszny to był potwór, nikt zwroku jego nie mógł wytrzymać, każdy, kto w ślepią krwawe spojrział, padał trupem na miejscu. Aż wreszcie znalazł się śmiałek, który wszedł do jaskini, trzymając przed sobą duże zwierciadło, a Bazyliszek spostrzegłszy swój obraz, własnym wzrokiem rażony, padł trupem.

Około roku 1320, wielki książę litewski, Gedymin, założył tu swój zamek i miasto pobudował. Stało się to, jak stare powiadają księgi, w sposób następujący: Książę litewski Gedymin, przybywszy pewnego razu z wielkim orszakiem na łowy, ulubioną zabawę ówczesnych Litwinów, miał na jednej z nich zabić tura wielkiego, od czego góra otrzymała nazwę Turzej. Po łowach nocował Gedymin w lesie i śniło mu się, że widział na jednej z tych gór, gdzie tura ubił, wilka ogromnego, żelazną blachą okrytego, a którego wycie było tak donośne, iż zdawało się, że wewnątrz

głosy stu wilków zawierał. Opowiedział Gedymin ten sen swoim dworzanom, nikt nie wiedział, co miało to oznaczać. Dopiero jeden kapłan pogański, imieniem Lizdejko, znaczenie tego snu dziwnego wytłumaczyć potrafił. Wilk żelazny, mówił on, znaczy, że na tem miejscu stanie zamek mocny i miasto, a sto wilków wyjących znaczy, że gród ten głośny będzie sławą swych mieszkańców. Przyjął to tłumaczenie Gedymin z radością i zaraz na szczytce tejże Turzej góry począł murować warowny zamek, sześciograną wieżę ozdobioną, u dołu zaś, w dolinie, stanęły domostwa. Na pamiątkę zaś swego snu, nowy gród nazwano Wilnem. Odtąd miasto rozszerzało się i wzrastało, ku czemu znakomicie sam Gedymin przez wzywianie kupców i rzemieślników dopomagał.

Za panowania Olgierda, syna Gedyminowego, Wilno jeszcze bardziej się wzrosło i zaludniło. Wtedy już zaczęto zwolna krzewić chrześcijaństwo na Litwie. W połowie XIV. stulecia sprowadził do Wilna książy Franciszkanów, którzy tu klasztor i kościół wybudowali. Lecz lud ciemny, ile że nie był należycie w wierze katolickiej umocniony, wpadł razu pewnego do klasztoru, siedmiu z tych mnichów srodze zamordował, a innych siedmiu którzy w okolicznych gajach schronić się usiłowali, pojماwszy, ukrzyżował, a ciała ich zelżone z góry do rzeki powrzucał. Później na pamiątkę tych męczenników, kiedy chrześcijaństwo na Litwie się rozszerzyło, postawiono na tej górze trzy krzyże, a które stale odnawiane kilka wieków przetrwały; dopiero zbir Murawiew kazał je obalić. Czy trafał zrządzić, czy też pocziwa ręka ludzka się przyczyliła, dość, że na tem samem miejscu wyrosły trzy topole, jako wymowne świadectwo tyranii moskiewskiej. Jeszcze za życia Olgierda, cheiwe łupów zastępy Krzyżaków oraz książe moskiewski Dymitr, grozić krajowi zniszczeniem poczynali i pierwsi nawet wpadłszy we 12000 zbrojnych mężów, większą część wzrastającego Wilna spalili. Po śmierci Olgierda w r. 1377 nastąpił syn jego Jagiełło. W parę lat potem stryj Jagiełły, Kiejstut, poróżnił się z synowcem, napadł Wilno, zdobył zamek i Jagiełłę uwięził. Lecz tenże porozumiał się z przyjaciółmi i z ich pomocą w następnym już roku znowu na tronie książęcym w Wilnie osiadł, a Kiejstut zamordowany został. Prochy jego z rozkazu Jagiełły przywieziono do Wilna i tryumfalnie pogańskim pogrzebem uczczono.

Pośród wspaniałych gmachów Giedymina, przygotowano stos i na nim zwłoki księcia złożono, przykryte płaszczem i w zbroję przybrane. Tuż przy nich według pogańskiego zwyczaju stał koń, co go w bojach nosił, leżały powiązane psy i sokoły myśliwskie. Kapłani, rzucając rysie i niedźwiedzie szpony, podłożyli ogień, śpiewając ponurą pieśń żałobną; a gdy płomienie ogarnęły stos, jak mówi podanie, otworzyła się przepaść i popioły księcia pochłonęła.

W końcu XV. stulecia Wilno zaczęło przybierać pozory pięknego i rozległego miasta stołecznego. Na wysokiej górze, przy ujściu rzeki Wilny do Wilji, wznosiły się wspaniałe mury silnie warownego zamku, trzema pięknymi basztami w niebo strzelające i wysokim wałem opasane. U stóp góry rozciągał się dolny zamek, Krzywym Grodem nazwany, a dalej nieco w dolinie, odwiecznymi dębami porosłej, widniały drewniane budowle ponurej świątyni z wiecznie tlejącym świętym ogniem zwanym Zniczem. Na tem miejscu, gdzie dziś kościół katedralny, wśród ogromnych dębów stał groźny posąg największego bożka litewskiego, Perkunasa, wsparty na postawie z krzemienia. Pałac księcia składało kilka obszer-nych budynków, pomiędzy którymi stał dom przeznaczony na chowanie skarbów, oraz stajnie i młyny. Obok świątyni Perkunasa wznosiła się wysoka, okrągła z kamieni ciosowych wzniesiona wieża, mająca okno, przez które najwyższy kapłan, zwany Kriwe-Kriwejte przemawiał do ludu. Prócz tej najważniejszej świątyni znajdowały się wówczas w Wilnie inne jeszcze różnym bożkom poświęcone. W roku 1387 wielki książę litewski Jagiełło zawarł małżeństwo z piękną Jadwigą, królową polską. Przed ślubem jeszcze przyjął chrzest św., i obiecał Polakom, iż wszystkich swoich poddanych na wiarę katolicką nawróci, oraz że Litwa będzie odtąd po wieczne czasy złączona z Polską. Po ślubie odbytym z wielką uroczystością w Krakowie, udali się oboje królestwo do Wilna. Przybyli tam również duchowni katolicy z arcybiskupem gnieźnieńskim, Bodzantą na czele. Obalono świątynię i posągi bożków, zagaszono Znicz, wycięto święte dęby. Przyzwany lud, nietylko z miasta ale i z okolie, gromadami ustawiano i tak go chrzczono, nadając dla pośpiechu każdej gromadzie jedno imię. Zaraz potem na gruzach świątyń pogańskich zatknęto krzyże i poczęto budować kościoły. Na miejscu, gdzie był ołtarz Perkunasa założono posadę kościoła

katedralnego pod wezwaniem św. Stanisława. Arcybiskup w licznej asystencji duchowieństwa poświęcił ten kościół, a bogobojna królowa Jadwiga opatrzyła we wszystkie naczynia i sprzęty. Odtąd Wilno zajaśniało świętością i bogactwem. Widziało w swych murach niejednokrotnie posłów cudzoziemskich, królów i biskupów. Za panowania syna Jagiełły, Kazimierza Jagiellończyka, mieszkał w Wilnie króliewicz Kazimierz, kanonizowany następnie na świętego. Rzadkich enót i wielkiej pobożności był ten młodzieniec. Do dnia dzisiejszego opowiadają o cudach, doznanych u grobu świętego. Króliewicz, zmarły młodo, bo w 26 roku życia, pochowany został w katedralnym kościele, w oddzielnej kaplicy. Zwłoki jego spoczywają w srebrnej trumnie, podtrzymywanej przez orły królewskie. W ołtarzu znajduje się obraz św. Kazimierza w szacie srebrnej i trzema rękami, we dwóch prawych trzyma lilje, a w lewej różaniec. O tym trójręcznym obrazie takie istnieje podanie: Pewien malarz wileński, odmalowawszy obraz św. Kazimierza, gdy mu się jedna ręka wydawała być dłuższą, zamalował ją, a na jej miejsce krótszą zwróconą ku sercu wyobraził. Ale gdy trzecia ręka pomimo zamalowywania zawsze się ukazywała, obraz ten na potomne czasy pozostał trójręcznym. Do najświetniejszych czasów Wilna należą panowania królów Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta.

W tym czasie stanęły piękne pałace, przybywający cudzoziemcy ożywiali handel i rzemiosła, ludność wynosiła przeszło sto tysięcy. Ostatni król z rodu Jagiellonów, Zygmunt August, całem sercem Wilno ukochał i nad inne miasta przekładał. On tu budował piękne gmachy, zakładał ogrody, sprowadzał kupców, ustanowił jarmarki.

„Zygmunt August — mówi pewien pisarz — jedno Wilno domem swym nazywał, inne miasta i pałace swoje za cudze uważając. W Wilnie łaźnie, ogrody, domy, pałace, i niewiedzieć wiele innych rzeczy pozakładał“. A gdy umarł ten ukochany król, poznał naród co stracił i żałoba wszystkich okryła. Ze śmiercią Zygmunta Augusta kończą się dla Wilna szczęśliwe czasy. Bezustanne klęski, morowe powietrze, pożogi, głód i wojny trapiły biedne miasto i powoli chyliły do upadku, Nikt jednak tyle klęsk i nieszczęść na Wilno nie sprowadził, co Moskale.

Na zawsze pamiętnym będzie dla Litwy całej rok 1655, kiedy wojska cara moskiewskiego, Aleksego, opanowawszy miasto, w je-

dnym dniu wyrznęły 25000 mieszkańców, nie oszczędzając niewiast i dzieci, nad którymi pastwiły się te hordy zbójcekie w sposób iście zwierzęcy, zbezczeszczyły świątynie i na ostatku spaliły miasto. Najokropniejsze sceny działy się w klasztorze św. Michała. Co się tu wtedy działo, zgroza bierze opisywać. Krew lała się potokami, jęki mordowanych i gwałconych przez kozactwo mniszek i niewiast, które się tu z dziećmi schroniły, zagłuszały sprosne pieśni i wycie dzikiej tłuszczy. Sprawiwszy rzeź Moskałe zrabowali kościół i dostawszy się do podziemi wyrzucali z trumien ciała. Zwłoki włóczyli kozacy po ziemi i porzucili koło kościoła katedralnego. I dziś jeszcze można oglądać w piwnicach klasztornych na pół spróchniałą trumnę ze zwłokami zakonnic w habicie. Ciało leży na boku; jedna ręka wyprostowana nad pochyloną ku piersiom głową, druga kurezowo zgięta. Na trumnie czytamy następujący napis: J. H. S. Wielebna Panna Dorota Siedleszczyńska. Była Matką. Zamęczona od Moskwy 1655 roku.

Są to zwłoki przełożonej klasztoru, nad którą w okrutny sposób pastwili się kozacy, odecięli nos, odrąbali stopy, powykręcali nogi i ręce.

W roku 1794, na hasło dane przez Kościuszkę i Litwa powstała do walki z wrogiem. W Wilnie wybuchło powstanie pod dowództwem generała Jasińskiego. Wojska moskiewskie zostały rozbrojone i wzięte do niewoli. Podczas szturmego generała moskiewski Diejew, zabity został celnym strzałem przez braci z zakonu Karmelitów bosych. Moskałe pochowali Diejewa niedaleko Wilna i postawili mu pomnik na którym umieścili napis:

Tu leżył Diejew
Ubit od Polaków złodziejew!

Jakiś dowcipiś umieścił pod tym napisem następujący dwuwiersz:

Tu leży świnia niesyta
W cudzym ogrodzie ubita.

Pomimo atoli walecznej obrony i męstwa obłożonych, przeważające siły moskiewskie napowrót zdobyły miasto. Odtąd odwieczna stolica Litwy przyłączoną została do Rosyi...

Lecz nie dość na tem, bo carat dąży do tego, aby Litwę całą wcielić, to jest zspolnić i w jedno z swem państwem przemienić. Więc jakby na dowód, że kraj ten jest rdzennie rosyjskim, kazał rząd rosyjski teraz wzniesić w Wilnie pomnik dla carowej Katarzyny I,

tej właśnie carowej, która w pierwszym rozbiórce Polski Litwę zagarnęła. I oto z końcem września odbyło się uroczyste odsłonięcie tego pomnika; u stóp jego oprócz popów i urzędników carskich, stało kilkudziesięciu polskich szlachciców, tych pełnych trwogi o swoje mienie i swoje stanowisko panów, którym całe zresztą polskie społeczeństwo ten czyn za hańbę i zbrodnię poczytuje.

Krosno i jego okolice.

Ogromne upały, jakie nas nawiedziły w tym roku, wypędziły mnie z Krakowa, ażeby u podnóża Karpat, w cienistych lasach, szukać schronienia. Ale niestety, upał i tu nas ścigał; lecz powietrze górskie i czyste, chłodne wieczory i poranki, orzeźwiająco działały.

Z pięknego Grybowa zrobiłam wycieczkę do Krosna, ażeby odwiedzić dawne, znajome mi, stare, poważne miasto i jeszcze raz zwiedzić ruiny zamku Odrzykońskiego.

Pojechałam najprzód do Odrzykonii, ale tu zab czasu i barbarzyńska ręka ludzka wielkie sprawiły spustoszenie.

Zamek Odrzykoński, leżący na północnej stronie od Krosna, jak podanie mówi, zbudowanym był przez Firlejów.

Przed wiekami, rodzina Firlejów należała w naszym kraju do bardzo zamożnej, a dowodem tego jest ów wspaniały zamek, z którego dziś tylko szczątki widzimy, jeszcze w promieniu kilkumilowem.

Zamek zbudowany na bardzo wysokiej górze, czyli skale, gdyż podstawa jego, to jedna skała, w której wykute były lochy podziemne, kurytarze, a nawet jest podobno podziemne przejście aż do klasztoru OO. Franciszkanów w Krośnie.

Zamek był obronny, gdyż z jednej tylko strony można się było dostać do niego, inne boki były niedostępne. A że krwawe walki staczać się tam musiały, to jeszcze i dziś są na to dowody, bo ziemianie orząc w pobliżu zamku swą ziemię, znajdują w niej kule lub kawałki zbroi.

Przed wejściem do zamku stoją trzy skały, przedstawiające siedzące kobiety; skały te nazywają „Przadkami“ a legenda o nich taka się przechowała: Przed kilkuset laty, jeden z właścicieli zamku miał żonę, która nie wyznawała naszej religii, a że to była kobieta przewrotna, złośliwa i chciwa, więc się jej to nie podobało, że czeladź wszystka nie nie robi, a tylko chodzi do kościoła, a potem odpoczywa. Chciała koniecznie zwyczaj

ten zmienić i żądała, żeby w dniu świąteczne tak samo pracowali jak codziennie, ale służba odmówiła jej posłuszeństwa. Natenczas zła pani powiedziała czeladzi, że da im przykład ze siebie, że będzie pracować, a nie się jej przez to nie stanie. Jak powiedziała tak zrobiła. Pewnego razu, kiedy czeladź wszystka poszła do kościoła, a było to jakieś bardzo uroczyste święto, przewrotna kobieta zabrawszy z sobą dwie ulubione sługi, które chcąc podchlebić się pani, wszystkie jej rozkazy wykonywały, zasiadła wraz z nimi przed zamkiem z kądzielą, i tak we trzy przędły, ażeby ich ludzie powracający z kościoła widzieli. Kiedy służba po nabożeństwie wróciła do zamku, z wielkim przerażeniem spostrzegła, że te trzy przędzące kobiety, zamieniły się w postacie kamienne. I „Prządki“ stoją nieporuszone, a czas, który kruszy inne skały, zostawia je nienaruszone, jakoby dla przestrogi ludzi, że w święto pracować nie wolno.

Ale błogosławieństwa Bożego w tym zamku nie było, bo wszystkie legendy jakie się o nim przechowywały, smutny mają koniec. Ostatni z Firlejów, który w tym zamku panował, miał bardzo piękną córkę, którą kochał nad życie, ale dla wszystkich srogim był bardzo, i tylko ta piękna dziewczica czasem gniew jego usmierzyć potrafiła.

Pokoje tej pięknej dziewczicy umieszczone były w narożnej wieży, w której podziemiach znajdowały się lochy więzienne.

Zdarzyło się raz, iż w lochach tych zamkniętym był jakiś szlachetnie urodzony młodzieniec, który pięknym głosem śpiewał zawsze różne tęskne piosenki, że Firlejówna słuchając ich, zakochała się w nieszczęśliwym więźniu. Zwierzyła się z swoją miłością przed wierną swą służebnicą, która chcąc dogodzić swej pani, przekupiła strażę, i Firlejówna każdego wieczoru schodziła do lochów w towarzystwie wiernej swej sługi i parę godzin z biednym młodzieńcem przebywała.

Znalazł się jakiś podły służalec, który chcąc się podchlebić srogiemu panu, powiedział o tych nocnych odwiedzinach jego córki. Straszny gniewem zapłonął stary magnat, kazał przywołać do siebie córkę, i zapytał jej, czyli to jest prawda.

Piękna dziewczica przyznała się do wszystkiego, a padłszy przed ojcem na kolana, błagała ze łzami, żeby jej tego więźnia darował, że ona go kocha, i jeżeli jego żoną nie będzie, to i nieżyją inną być chce.

Ta odpowiedź córki bardziej jeszcze roz-

gniewała srogiego pana, kazał więźnia wyprowadzić na podwórzec zamkowy i przed oknami córki zciąć mu głowę.

Widząc to nieszczęśliwa dziewczyna jak piękna głowa ukochanego jej młodzieńca po piasku się potoczyła, nie namysławiając się długo, otworzyła okno, które nad ogromną przepaść wychodziło, rzuciła się z niego, miażdżąc się na skałę, zostawiając ojca z bezbrzezną rozpaczą i wyrzutami sumienia.

Po śmierci tego Firleja, zamek Odrzykoński przeszedł w ręce Bonarów. Niewiadomo jak długo rodzina Bonarów miała go w swem posiadaniu, bo trudno się o tem dowiedzieć, dopiero o ostatnich wiemy, że było dwóch braci, prawdopodobnie bliźnięta, bo obydwaj równe prawo mieli do posiadania zamku, i jeden drugiemu niechciał ustąpić, stąd ciągle były kłótnie pomiędzy nimi. Aż jeden z nich podstępnie zabił brata, a chcąc ukryć zbrodnię, wrzucił ciało jego do studni na sto metrów głębokiej, która zasypana i ogromnym kamieniem przyłożona na dziedzińcu zamkowym się znajduje.

Ostatnimi z magnatów dzierżących ten zamek byli Oświęcimowie. Z pierwszego małżeństwa Oświęcim miał syna Stanisława, pięknymu to był i dorodny młodzieniec.

Z drugiej żony przybyła mu córka, której na imię było Anna. Dzieci te tak się kochały, że gdy Anna wyrosła na śliczną dziewczę, o jasnych włosach i jak bławatki niebieskich oczach, kilka lat starszy od niej Stanisław, zapragnął pojąć ją za żonę. A że na to ani rodzice, ani Kościół pozwolić nie mogli, niezrażony tem Stanisław, wybrał się sam w podróż do Rzymu, ażeby tam, u Stolicy Apostolskiej uprosić pozwolenie.

Podróż taka do Rzymu na ów czas trwała kilka miesięcy, i Stanisław żegnając Annę, powiedział jej, że jeżeli otrzyma pozwolenie od Ojca św., to powracając, na najwyższym szczycie góry, przez którą miał przejeżdżać, a którą z jej okna widać było, zatknie białą chorągiew, ażeby wcześniej wiedziała, czy poselstwo jego dobry skutek odniosło.

Kiedy już czas powrotu przez Stanisława naznaczonego zbliżał się do końca, Anna nieodstępowała od okna, oczekując niecierpliwie upragnionego znaku. Nareszcie pewnego poranku, kiedy się zbliżyła do okna, zobaczyła w umówionym miejscu białą chorągiew. Widok ten tak ją przeraził, iż padła bez życia na ziemię.

Kiedy uszczęśliwiony Stanisław odnie-

sionem zwycięstwem powrócił do zamku, zastał Annę na katafalku. Padł zemdlony przy zwłokach ukochanej, a gdy przyszedł do przytomności, poszedł do jej pokoju, w którym tak lubił przesiadywać i tyle miłych chwil spędził, arfa, na której Anna często grywała sama zagrała mu jego ulubioną piosenkę. Widać, że duch dziewcziny jeszcze tu przebywał, i tą piosenką pożegnał ukochanego.

Rozpacz Stanisława była tak wielką, iż zaledwo kilka dni przeżył swą Annę.

Na Oświęcimach kończy się podanie o zamku Odrzykońskim; był on potem podobno własnością hr. Jabłonowskich, ale już nie zamieszkały, przeciwnie, zaczęto go rozbierać, a z kamieni tych powstał klasztor OO. Kapucynów w Krośnie. Zdaje mi się, iż obecnie należy do pp. Starowiejskich, ale są to już szczątki bardzo małe. Tylko w podziemiach muszą być skarby ukryte, które kiedyś, w przyszłości, jakimś wypadkiem wyjdą na wierzch i dostaną się w niewłaściwe ręce.

Krosno, przed ostatnim pożarem, było miasteczkiem bardzo ładnem, prawdziwie polskiem, mające 12 przywilei od naszych królów. Naokoło dużego rynku, domy wszystkie miały podcienia, tak, iż w czasie największej soty można było obejść suchą nogą wokoło rynek, co bardzo było dogodnem i dla kupców jarmarcznych, którzy w tych podcieniach rozkładali swe kramy, Jarmarki bywały tam duże, kilka dni trwające, a nawet Krosno miało ten przywilej, iż odbywały się w nim jarmarki na panny.

Rodzice, mając córki na wydaniu, zjeżdżali do Krosna, wynajmowali gospody, i gdzie były panny do zamażpójścia, tam z okien wywieszano dywany. Odbywały się i bale w czasie jarmarku, ażeby dać sposobność poznać się młodym, i wiele małżeństw w Krośnie na jarmarku się skojarzyło. Zwyczaj ten dochował się blisko do połowy zeszłego stulecia.

Krosno zbudowane jest na stromym brzegu, u którego stóp płynie Wisłok. Dawniej było tu biskupstwo, dziś katedra przemieniona na kościół parafialny, a pałac biskupi z przeszlicznym widokiem, na prywatne mieszkania. W kościele parafialnym znajdują się piękne płaskorzeźby, godne zwiedzenia dla znawców.

Stary klasztor OO. Franciszkanów, a w nim groby Oświęcimów, Stanisława Oświęcimskiego i dworzanina jego Pełki, dobrze zabalsamowane zwłoki, w całości jeszcze oglądać można, Anna, zapewne w powodu drobnych kości, już się rozsypała. W kaplicy Oświę-

cimów w ołtarzu jest obraz, przedstawiający zaślubienie Stanisława i Anny, a św. Stanisław biskup krakowski błogosławi ten związek.

Na ścianie kaplicy, są porozwieszane portrety Stanisława i Anny, wielkości naturalnej. Widocznie, iż fundatorami tego klasztoru byli Oświęcimowie.

Trzecim kościołem jest milutki klasztor OO. Kapucynów, który zbudowany jest już z rozebranych murów zamku Odrzykońskiego. Dawniej musiał tam być i klasztor OO. Jezuitów, bo szkoły tamtejsze mieszczą się w murach pojezuickich.

Krosno miało i ten przywilej, iż nie wolno było osiedlać się żydom i do roku 1868 nie było tam ani jednego żyda, jeżeli byli, to pod miastem, t. j. za Wisłokiem.

Po spaleniu dopiero, kiedy pieniądz był potrzebny, wpuszczono żydów do miasta, które straciło już swą cechę starożytną, a odbudowane zostało według modły nowożytniej.

Walerya Ciechomska.



POLSKIEJ DZIEWICY.

Jeśli nie masz białej niewinności,
Niepokalanej, lilii czystości,
Choćby anielskie były twoje lica,
Biednaś ty, biedna dziewica.

Jeżeli nie masz w twem sercu miłości,
Boga, Ojczyzny, sióstr, braci, ludzkości,
Choćby ci szczęścia płynęła krynica,
Biednaś ty, biedna dziewica.

Jeżeli nie masz w twojem sercu wiary,
Choćby świat cały palił ci ofiary,
Pod twoje stopy, chylił swoje lica,
Biednaś ty, biedna dziewica.

Jeżeli nie masz w twem sercu nadziei
Co by cię wiodła wśród życia zawiei.
Nie masz miłości w sercu Twojem znicza,
Biednaś ty biedna dziewica.

Jeżeli nie masz uczucia litości,
W twojem serduszk, dobroci skromności,
Tkliwość, łagodność nie zdoła tve lica,
Biednaś ty biedna dziewica.

Jeśli w dziewiczym twojem czystem łonie
Wiara, nadzieja, czystość, miłość płonie,
Kiedy skarby cnót Bóg w sercu twem złoży,
W dziewiczym ciele, jesteś anioł Boży.

Jantek z Bugaja.

„Żywy towar“.

W Zurychu w Szwajcaryi obradował niedawno kongres międzynarodowy dla zwalczania handlu dziewczętami, który stał się plagą i plamą naszych czasów. Handel dziewczętami, czyli „żywym towarem“ jest w Europie i Ameryce niestety ową zbrodnią, przeciwko której władze nie występują z należytą energią. Schwytany handlarz ulega wprawdzie karze, ale jak rzadko bywa chwytywany! Przez długie lata uprawia swoje rzemiosło bezkarnie i często ma starość „spokojną“, jak gdyby na nią rzetelnie zasłużył. W Europie handlarze „żywym towarem“ muszą bardzo być ostrożnymi, natomiast w Ameryce północnej tamtejsze ustawodawstwo ułatwia im zbrodnicze rzemiosło.

W Nowym Jorku istnieje osobna klasa ludzi młodych, zwanych „kadetami“, którzy trudnią się łowieniem dziewcząt dla domów publicznych. Sieci swoje zarzucają głównie na dziewczęta, które dopiero świeżo przybyły do Nowego Jorku przeważnie z Europy. Jak donoszą dzienniki nowojorskie, sędzia Macmahon, który prowadził rozprawę karną z powodu sprzedania przez „kadeta“ do domu rozpusty dziewczyny, będącej jeszcze prawie dzieckiem, zawołał z przerażeniem: „Nie sądziłem, że taki handel dziećmi jest możliwy!“

„Kadeci“ w Nowym Jorku posiadają swoje własne domy, w których naradzają się nad swemi interesami „zawodowymi“. Stąd wyprawiają się do Europy całe bandy handlarzy, a pieniądze na tego rodzaju wyprawy nigdy nie braknie. Gdy który z tych łotrów dostanie się w ręce sprawiedliwości, reszta ich zaraz wyszukuje dla jego obrony najlepszego adwokata i składa choćby najwyższą kaucję, ażeby go wydobyć z więzienia śledczego na wolną stopę. — Oczywiście „kadeci“ utrzymują handlowe stosunki z właścicielkami domów rozpusty. „Kadeci“ utrzymują również stosunki z agencjami, stręczącemi pracę. Władze nowojorskie stwierdziły, że 40 na 100 dziewcząt, które szukają przyzwoitego zajęcia za pośrednictwem owych biur, dostaje się do domów rozpusty, za co opłata wynosi od 10 do 100 dolarów. Co więcej, niektóre właścicielki biur pośrednictwa posiadają domy rozpusty w bogatych okolicach miasta. „Kadeci“ włóczęgą się po ulicach, ogrodach, muzeach, a zwłaszcza uwijają się koło placu lądowania i na wybrzeżu, gdzie przebywają

emigranci, ażeby upatrzeć sobie ofiarę. — Zbliżają się do naiwnych dziewcząt i przybierają tak ujmujące pozory, że prawie zawsze dostają zdobycz w swoje sieci. Ułatwia im rzemiosło sama nawet ustawa. W Ameryce po wielkich miastach każdy radca miejski może dać ślub młodej parze bez zapowiedzi. Otóż „kadeci“, często biorą wobec radców śluby z dziewczętami, które sprzedają zaraz do domów rozpusty.

Dlatego władze powinny energicznie zająć się tą sprawą, a dziewczęta wyjeżdżające do Ameryki, powinny trzymać się zasady, że wszelkie zawieranie znajomości na poczekaniu i wszelka łatwowierność może je zgubić na zawsze.



Lanckorona.

Pięć mil na południowy zachód od Krakowa, na wysokiej górze, leży miasteczko Lanckorona. Niedaleka odległość, dość wygodne połączenie koleją, przecudne położenie i rozległy widok na Babią-górę, szczyty Tatr, Kraków, na kopiec Kościuszki, Bielany i Kalwaryę wabią co roku liczne zbiorowe wycieczki starszych i młodzieży.

I jedni i drudzy spieszą, by odetchnąć czystym, balsamicznym powietrzem, napawać oczy widokiem i odwiedzić ruiny zamku. Lecz boli nieraz serce, że ruiny te, ten pomnik świetności narodu, te relikwie nasze nie sprawiają na zwiedzających głębszego i trwalszego znaczenia. Patrzymy na nie jakoby na martwe głazy i nie więcej, jakoby przez szkło na obraz malowany. Twarde, bo twarde, lecz święte i wieszcze cisną się wtedy na usta słowa:

„... swego nie znacie! ...

Sami nie wiecie, co posiadacie!“

Kto i kiedy założył Lanckoronę, niewiadomo. Dzieje jej dopiero w XIII-tym wieku z mrocznej wyłaniają się osłony. Darzona przywilejami królów polskich wzrastała rychło w dobrobyt i znaczenie. Ze względu na wyniosłość góry, wznoszącej się nad okolicą w promieniu kilku mil, przeznaczono Lanckoronę na twierdzę i silnie obwarowano. Pod jej zamku murami — jak piszą kroniki — przyskały zapędy wrogów, jakoby fale rozbite

o skałę. Najświeńszemi jednak zgłoskami zapisała się ta stanica polska w czasach śmiertelnych zapasów wolnego narodu z przemocą.

W czasach konfederacji barskiej była ona ostoją i środowiskiem szlacheńskich i bohaterskich czynów konfederatów. Gdy jednak mimo wysiłku i męstwa padł nam inny los, los gorzki za winy moze ojców, a moze więcej za winy nasze, los cierpień i tułactwa, kiedy wszystko legło pod przemocą, kiedy zdobyto Tyniec i Kraków — Lanckorona stała niezdobytą. Dopiero po zawarciu przez ościennie państwa t. j. Rosyę, Prusy i Austryę traktatów co do rozbioru Polski w r. 1772, widząc, że dalsza obrona byłaby bezskuteczna, dobrowolnie otworzyła bramy zamku i spuściła mosty zwodzone. Do zamku weszli obcy, a swoi poszli biedni w świat szeroki na żywot tułaczny i poniewierkę!...

— Jedni poszli, a drudzy zostali. Poszli żywi, zostać musieli ci, którzy legli pod ciężkimi mogił kopcami... A kopców tych tyle, że jeśli nimi dziś Polska cała usiana, to Lanckorona jest jedną mogiłą!...

Pod ruinami zamku, przy kościele, na cmentarzysku, w polu pod kapliczką, a po lasach ile — wszędzie mogiły i mogiły!... Gdzie tknąć głębiej ziemi, kości i kości — a starzy powiadają: „to groby poległych!“

Nawet cały las blizki nosi do dziś nazwę „Groby“, bo kryje w sobie grób kilkuset poległych, braci naszej. Trawa w pas i paproci dywany stroją ich kurhan, a korzenie świerków i jodeł splatają śpiących w serdeczne powiecie. Co mieli w świecie najdroższego, tu oddali Ojczyźnie w ofierze. Legli za swoją i naszą wolność, a za to dziś ani żywej jednej od potomnych, ani im modlitwy, ani westchnienia!

Biedni! — oj biedni!

Obcy na swojej ziemi, nieznani między swoimi!...

Czas wreszcie uczcić ich prochy, czas wskrzesić i utwalić pamięć o nich, czas złożyć im hołd i serca nasze.

W tym też celu związał się niedawno komitet z osób, znających miejscowe stosunki i ten pragnie w jak najbliższym już czasie na grobie poległych postawić duży krzyż dębowy.

Niechaj śpiący pod nim lżejszy sen mają; niechaj krzyż strzeże ich prochów; niechaj przechodzień chociaż westchnienie im poszle,

niechaj tu u stóp krzyża małe uczą się dzieci jak należy kochać Boga i Ojczyznę.

Na ręce komitetu złożono na początek 24 koron 84 h.; dalsze datki na powyższy cel ofiarni Rodacy zechcą przesłać na ręce X. Antoniego Rajskiego w Lanckoronie lub do Redakcyi *Przodownicy* w Krakowie. — Sprawa tak sama za sobą przemawia, że gorętsza jakaś prośba jest tu zupełnie zbyteczną.

Gdy Bóg pozwoli polegać na tyle funduszów, to postawi się poległym w lesie krzyż, a drugim biedakom pochowanym wśród pól naprawi walącą się kapliczkę!...



Wieści ze świata.

Nowa Września. Okropne stosunki jakie system polakożerezy wytworzył w szkolnictwie w zaborze pruskim, rzuca nowe światło na wypadki, jakie obecnie rozgrywają się w wiosce wielkopolskiej Bukowcu. Od dłuższego już czasu we wsi Bukowcu dzieją się rzeczy, które wróżyły, że zanoszą się tam na dramat równy wrześnieńskiemu. System szkolny pruski sam dopomaga się tego, żeby stosunek między nauczycielem a uczniami był jak najgorszy. Gdy nauczyciel kazał śpiewać dzieciom „Ich bin ein Preusse, will ein Preusse sein“, dzieci opierały się i nie chciały śpiewać. Stosunki naprężyły się coraz bardziej pomiędzy nauczycielem i nie tylko dziećmi, ale i ich rodzicami. Bywały wypadki, że dzieci uciekały podczas lekcji, niektóre nawet przez okna, nauczyciel bił takowe i szarpał na nich ubranie. Pewnego dnia zaprowadził nauczyciel dzieci na podwórzec szkolny, gdzie było szkło porozrzucone na ziemi i tam kazał robić dzieciom ćwiczenia gimnastyczne. Działwa będąc boso, nie mogła ich wykonać, bo szkło kaleczyło im nogi. Nauczyciel zaczął okładać ich prętem, a najbardziej pobił Ignasia Domagałę, Franka Klorka i Romana Kożę. Ojciec małego Ignasia zawiózł do fizyka w Nowym Tomysle. Fizyk chociaż Niemiec, dał świadectwo Domagale, na mocy którego wniósł skargę do prokuratury państwa przeciwko

nauczycielowi. Ze swej strony nauczyciel zdał raport swojej władzy. Z tego wynikało, że do Bukowca zjechała komisya z żandarmem.

Zwołano zarząd szkolny i oświadczone, że jeżeli nie wpłyną na rodziców i dzieci żeby się odpowiednio zachowywały, w takim razie oporna dziatwa będzie zabrana rodzicom i oddana do państwowych zakładów przymusowego wychowania. Wieść o tem rozeszła się szybko po całej wsi. Można sobie wyobrazić stan, w jakim ludność się znajduje, obawa, że żandarmi będą zabierać im dzieci.

Takie postępowanie rządu może wywołać bardzo smutne następstwa; a nauczyciel nie tylko że nie był skarcony za to, że z dziatwą tak niegodnie postępuje, ale owszem zachęcony był, ażeby i nadal ostro z dziećmi postępował. Zachęcony nauczyciel przez swoją władzę, postępował tak z dziećmi, iż wywiązała się z tego ogólna bitka pomiędzy dziećmi i nauczycielem. A wśród rodziców panuje takie napięcie, iż lada chwila można się spodziewać bardzo poważnych następstw. Do Bukowca miał zjechać poseł do parlamentu niemieckiego Dr. Alfred Chłapowski w celu dokładnego zbadania zaszłych wypadków i utworzenia miejscowego komitetu informacyjnego, któryby zawczasu donosił o dalszych następstwach osobie, która co kilka dni przyjeżdżać będzie z Poznania w tym celu.

Rewizye wśród uczniów. Od pewnego czasu dyrekcya gimnazjum gnieźnieńskiego śledzi gorliwie uczniów. Już przed wakacjami wszyscy prawie uczniowie Polacy otrzymali wizyty dyrektora i profesorów. Po wakacjach wizyty te odbywają się częściej, a szczególnie u tych uczni, którzy mieszkają w polskich domach. Żadna książka, żaden drukowany kawałek papieru nie ujdzie badawczego oka profesora. W dnie rekreacyjne w których młodzież nie idzie do szkoły, wszyscy profesory jak policyjanci chodzą po ulicach i badawczym okiem śledzą gimnazjalistów.

Złot „Sokołów“ okręgów westfalskiego i nadreńskiego miał się odbyć w Wanne w Westfalii. Miejscowa policya odmówiła pozwolenia. P. Karol Rzepecki z Poznania, który jako delegat Związku „Sokołów“ przybył do Westfalii, wynajął ogród w Dormundzie prywatnie, do którego zaproszono liczne obywatelstwo oraz „Sokołów“ z Westfalii i Nadrenii. Zabawa miała charakter ściśle prywatny, mimo to przybył do ogrodu urzędnicy policyi i nie opuścili go, pomimo kilkakrotnego wezwania p. Rzepeckiego. Na salę, gdzie od-

bywał się obiad, przybył także policyjant w mundurze w towarzystwie agenta, który ku ogólnemu zgorszeniu, siedział w kapeluszu na głowie przez cały czas. Obiad pod dozorem policyi odbył się zupełnie milcząco, bo policyjant nie pozwolił na żadne toasta ani śpiewy. Po niejakiem czasie przybył komisarz policyi z całym zastępem policyjantów pieszych i konnych i nie pozwolił na żadne zbiorowe popisy.

Z pruskiej szkoły. W Bogucicach, pewnego razu, gdy dzieci wyszły na pauzę, ustawiły się w szeregi i miały powracać do klasy, jeden z chłopców, mały 6-letni Górniczek schował się pod płotem. Widząc to nauczyciel, obił chłopczynę i kazał iść do klasy. Dwunastoletni Antoni Skowronek widząc, jak bije nauczyciel chłopaczką, powiedział do swego kolegi: „Patrz, jak pierze chłopca nauczyciel“. Na nieszczęście posłyszał to nauczyciel, zwrócił się do niego i uderzył go prętem parę razy. Gdy chłopiec odgrażał się, że zawoła ojca, nauczyciel wpadł w taką złość, że szedł za nim do klasy bijąc go po rękach, a w końcu wywłókł go z klasy i zaprowadził do pokoju urzędowego, tam położyli nieszczęśliwego Skowronka na krześle, trzech nauczycieli trzymało go, a czwarty bił prętem. Chłopiec pokryty był cały krwawymi sińcami. Ojciec kazał go zbadać lekarzowi, a na mocy otrzymanego świadectwa, podał sprawę do prokuratorowi.

Wydalenie z Prus. P. Hieronim Galski, mieszkający w Inowrocławiu od przeszło 31 lat, odebrał takie zawiadomienie z policyi: „Ponieważ pan jako poddany rosyjski, w kraju dłużej nie możesz być cierpianym, według rozporządzenia p. prezesa zawiadamia się pana, abyś wraz z żoną swoją granice państwa pruskiego w ciągu dwóch tygodni na pewne opuścił i więcej nie wracał, w przeciwnym razie będziesz pan karany grzywną pieniężną lub aresztem“. — Tu nadmienić trzeba, że pan Galski już dwa razy złożył opłatę za obywatelstwo miasta Inowrocławia.

Zemsta za pielgrzymkę. Rosyjska straż graniczna dopuszcza się rozmaitych nadużyć nad włościanami z Królestwa Polskiego powracającymi z Kalwaryi Zebrzydowskiej. Nie mogąc się do nich w inny sposób przyczepić, gdyż każdy zaopatrzony jest w odpowiednie legitymacye, mszczą się na nich w ten sposób, iż bardzo pilnie rewidują ich i niszczą wszystko, co im się tylko podoba. Zdzierano w brutalny sposób z kobiet i mężczyzn mo-

daliki i skaplerze, kupione w Kalwarii, oraz targano na strzępy obrazy Matki Boskiej Kalwaryjskiej. Nie też dziwnego, że barbarzyńskie to postępowanie władz rosyjskich rozgorycza lud i wrogo go usposabia do naszych ciemniźcyeli, bo tu zraniono ich najtkliwszą stronę, uczucie religijne, które tkwi w duszach ludu polskiego.

Z Łodzi. Firma „Arkaszewski i Spółka“, wysyła co roku kilkunastu współpracowników biurowych i warsztatowych na wycieczki po kraju, mające na celu odpoczynek po całorocznej pracy i samokształcenie młodych ludzi. W roku bieżącym wyruszyło 8 współpracowników w góry Świętokrzyskie. Kiedy przybyli do jednej z przydrożnych wiosek na spoczynek, zatrzymał ich strażnik i zażądał legitymacji. Okazano mu paszporty, ale strażnik nie uznał ich za dostateczne i wszystkich osadził w areszcie. Zanim firma dowiedziała się o wypadku i postarała się o ich uwolnienie, biedni pracownicy, zamiast używać świeżego letniego powietrza, przesiedzieć musieli kilka dni w ciasnym i brudnym areszcie.

Pastwienie się caratu nad więźniami zesłanymi na Sybir. Jeden z więźniów opisuje przygody podróży: W początkach czerwca małe statki przewożące nas na miejsce osiedlenia znajdowały się w Czeczujsku. Oczekiwaliśmy towarzyszek naszej p. E. H. zesłanej do tejże samej okolicy na osiedlenie. Przybyła z innym jeszcze zesłańcem, ale oficer Sikorski, który nas przewoził dał rozkaz żołnierzom, żeby nowo przybyłych na nasz statek nie przyjęli. Sprzeciwiliśmy się temu, wskutek czego wywiązała się istna rzeź. Jeden z naszych skazańców otrzymał pchnięcie w brzuch, inny pokaleczone miał ręce, inny dostał kilka cięć w głowę i t. d. Następnie żołnierze opuścili statek i zaczęli strzelać, lecz górowali, by nas tylko przstraszyć. Sikorski płynął na drugim statku tuż za nami. W nocy, gdyśmy wszyscy na dnie statku jak śledzie leżeli, Sikorski dał rozkaz dwom żołnierzom, ażeby towarzyszkę naszej niedoli p. Rebekę Wojerman, nauczycielkę z Kowna, związali i na jego statek przenieśli. Przed wieczorem jeszcze uczynił on jej ubliżające żądanie które poparł groźbą użycia gwałtu. Ale żołnierze odmówili spełnienia rozkazu. Nad ranem Sikorski ponowił swe rozkazy, ale i tym razem żołnierze odmówili posłuszeństwa pomimo groźby, że będą przed sąd wojenny postawieni. Sikorski w czasie przewozu więźni tak im dokuczał, że zroz-

paczeni zesłańcy zabili go w Naktujsku, chociaż w czasie walki i z nich paru śmierć poniosło.

Wystawa metalowa w Krakowie.

Jaki postęp robi u nas przemysł krajowy, dowodem tego są częste wystawy w różnych miejscowościach kraju naszego. Na wiosnę była wystawa w Kosowie, o której dawniej już wspominałam, w sierpniu odbyła się wystawa w Myślenicach, która także zasługuje chociaż na krótką wzmiankę. Oprócz często powtarzających się haftów z Makowa, kilimki z Andrychowa, zabawki z Jaworowa i t. d., na szczególniejszą uwagę zasługiwały wyroby szklane z Żółkwi, szkoła kowalska ze Sułkowie i zabawki klockowe wyrobu krakowskiego. Obecna wystawa metalowa urządzona już jest na większą skalę. a wyroby na niej są tak piękne, że niczem nie ustępują wyrobom zagranicznym. Na pierwszym miejscu stoją wyroby p. Józefa Góreckiego. Po cząwszy od artystycznie wykonanych przedmiotów, służących do ozdoby salonów, aż do łóżek i szafek szpitalnych. Szkoła kowalska z Sułkowie i szkoła zawodowa ślusarska ze Świątnik także bardzo wiele pięknych rzeczy nam wyrabiają. Piękne wyroby kotlarskie p. Karola Czunko, samowary mosiężne p. Sulikowskiego, które dotąd sprowadzane były tylko z Rosyi, znakomite liny drutowe pp. braci Batorowicz, piękne wyroby z konopi p. Józefa Wałkowińskiego z Krakowa, fabryka szpagatu banku hipotecznego w Podgórzu i wiele innych godnych widzenia wyrobów.

Z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć muszę, iż słyszałam od rzeczoznawców, że wyroby naszego kraju są już tak doskonałe, iż nie różnią się niczem od wyrobów zagranicznych. Jest przeto pożądanem, żeby wszyscy właściciele ziemscy większych lub mniejszych posiadłości, nie sprowadzali narzędzi rolniczych, ani maszyn do sprzętu zbóż potrzebnych z zagranicy, ale zamawiali je w naszych fabrykach krajowych, a tym sposobem będziemy popierać swój przemysł, ludzie będą mieli zarobek, a pieniądź w kraju zostanie.

Wystawa ogrodnicza.

W dniu 2 października b. r. otwartą została wystawa ogrodnicza, która nam wskaże, jakie ziemiopłody w naszych ogrodach hodować możemy i jaką korzyść z nich osiągać. Jarzyny, nie tylko świeże lub przechowywane w piwnicach, ale i zasuszone służyć nam mogą

do pożywienia przez cały rok. Owoc, czy to wprost z drzewa pochodzący, czy suszony, czy zamieniony na powidlą, marmulady, konfitury, soki, a wreszcie przemieniany na napoje, zawsze nam bardzo wiele pożytku przynosi, bo nie tylko że jest zdrowy i smaczny, ale i dochód dobry przysparza. Dlatego też pożądaną jest rzeczą, żeby ziemianie jak najwięcej drzew owocowych sadzili, a szczególnie w dobrych gatunkach. Kwiaty, które nietylko dla korzyści, ile dla przyjemności i rozweselenia oka powinny także przez młode dziewczęta być pielęgnowane.

Isdebną na Śląsku austriackim. Uczniowie gimnazyalni urządzili 13 sierpnia br. pierwszy uroczysty wieczorek.

Pieśni narodowe, jakoto „Jeszcze Polska nie zginęła“ i „Walecznych tysiąc“ wzruszyły niejednego z tamtejszych górali, ba nawet gości, bawiących tamże podczas wakacji; wieczorek dał najlepszy dowód, że i tam w tak ciasnym zakątku już prawie na kresach żyje duch polski i nigdy nie wytępi go niemiecka ręka.

Na szczególną uwagę zasługuje sztuka p. t. „Matka żyje“, odegrana przez pana Uziebłę, p. Pilasiewiczówną i studentów z Isdebny. Krótki ten obrazek powstania 31-go roku, odegrano z prawdziwie serce wzruszającym tonem. Orkiestra, składająca się z uczniów gimnazjum cieszyńskiego, przygrywała podczas antraktyw.

Na wzmiankę zasługuje zakończenie wypowiedziane przez p. Tomasza Legierskiego. W zakończeniu tem podnosi głównie pracę narodową, od której nikt nie powinien się uchylać, ani ukrywać. To też słusznie należy mu się serdeczne „Bóg zapłać“, górale zaś z Isdebny powinni brać sobie go za przykład, wstępować w Jego ślady, a z pewnością społeczność nie odwróci się od nich, owszem zawsze i wszędzie będzie pamiętała, że tam na kresach zachodniej Austrii, żyją bracia i siostry gnębione przez prawdziwie tontońsko-neronowskie plemię.



Kłęski tegoroczne.

Rok przeszedł nawiedzając nasz kraj straszną powodzią, nie wyrządził przecież tyle złego, ile tegoroczna posucha. Bo kłęska ta

nie tylko nasz kraj dotknęła, ale nawiedziła całą Europę a w części i Amerykę.

Najstarsi u nas ludzie nie pamiętają podobnie skwarного lata, a kroniki francuskie piszą o takich posuchach następujące szczegóły:

W roku 584 drzewa obrodziły już w lipcu, a we wrześniu powtórnie owoce wydały. W latach 851 i 852 były tak wielkie upały i posucha, że było nie miało paszy, ludzie z głodu umierali i pożerali swoje własne dzieci. W roku 869 z powodu posuchy w całej Europie były wypadki, że ludzie jedni drugich pożerali.

W roku 988 tysiące ludzi umarło z pożarzenia słonecznego. W latach 994 i 995 wyschły wszystkie mniejsze rzeki, a stosy martwych psujących się ryb zalegały ich łożyska. W roku 1137 we Francji ludzie umierali z pragnienia. Rok 1473 był rokiem najstraszniejszej suszy na Węgrzech.

W roku 1540 upały dały się uczuć najbardziej w Anglii, Tamiza wyschła prawie zupełnie, w Londynie zabrakło wody. W tym roku stopniało kilka lodowców alpejskich, a owoce na drzewach spiekły się i zczerniały.

W roku 1615 płonęły wskutek upałów w całej Europie wsie i miasta, w samych Niemczech było 3000 pożarów.

O roku 1705 pewien przyrodnik tak pisze: Dnia 30 lipca, był w powietrzu taki żar, jakoby się wydobywał z otwartego pieca huty, ludzie chronili się do piwnic, na słońcu gotowano jaja. W dniu 6 sierpnia, rtęć w termometrach podniosła się tak wysoko, że rurki szklane popękały. W roku 1719 wypaliło się prawie zupełnie zboże i zbiorów prawie nie było. Rok 1808 odznaczał się również wysoką temperaturą podczas lata, ludzie i konie padali na ulicach od udaru słonecznego.

I rok bieżący nie wiele jest lepszym od wyżej wymienionych, bo ze wszystkich stron dochodzą nas wieści o ciężkich kłękach.

Z Królestwa Polskiego tak piszą:

Słońce, jak kula żarząca, rzuca palące promienie na ziemię. Już pierwszy pokos siana był słaby, kończyły liche. A tu słońce od św. Jana bezustanku prażyło wciąż; nadeszły straszne upały lipcowe, minęło pięć tygodni bez deszczu. W drugiej połowie lipca spadły w niektórych miejscowościach bardzo niedostateczne deszcze. Żniwa rozpoczęły się wcześniej niż zwykle, pierwszy omłot okazał bardzo średni plon oziminy, a tymczasem owsy

zmarniały, okopowiny zeschły, drugie koniczyny całkiem nierosły. Łąki wypalone, koniczyny wypalone, łany owsa ledwie od ziemi odrósły z zupełnie zanikłemi kłosami. W kościołach rozbrzmiewały głosy wołające do Boga o kroplę deszczu, o odwrócenie klęski grożącej rolnikom. A słońce praży jak kula ognista, wysyłając co dzień bezlitośne palące promienie; a wieś, miasteczka i lasy płoną jak smolne pochodnie, bo brak wody i nie ma czym gasić pożarów. Susza pozbawiła rolników paszy dla bydła, a to największa klęska, szczególnie dla małych gospodarzy. Dla braku paszy trzeba wyprzedać bydło za tanie pieniądze, a bez krowy nie ma względnego pożywienia na wsi, a tym więcej, jeżeli jeszcze i ziemniaki nie dopiszą, to będzie głód.

O klęsce posuchy piszą z powiatu jasielskiego:

Posucha i brak wody w całym powiecie stanowią prawdziwą klęskę, o której mieszkańcy zaopatrzeni w wodociągi pojęcia nie mają. Ostatni deszcz spadł przed sześciu tygodniami; ustawiczna posucha wysusza wszystką wodę z potoków, rzeczek, stawów i mokradeł. Łąki wilgotne i trzęsawiska które od wieków były schroniskiem płazów, dziś suchą nogą przejść można. Wszystka woda zaskórna spłynęła, ziemia na stopę popękana, studnie powysychane, jedynie tylko źródlane wydają skapo wody. Groźne zawsze potoki Jasiołka, Dębówka i Ropa, które pod Jasłem łączą się w jedno i tworzą bystrą Wisłokę, tyle razem dostarczają wody, że Wisłoka ledwo się sączy, a w niektórych miejscach przeskoczyć ją można.

Susza na Górnym Śląsku.

Tegoroczna susza wyrządziła na tutejszych polach a zwłaszcza na piaszczystych, szkody wielkie i dotkliwe. Wszystka trawa została wypalona; owsy, ziemniaki, kapusty, koniczyny, wszystko wysycha. Rolnikom zagrożą powszechna klęska. Brakowi paszy dąłoby się w części zaradzić, zwłaszcza w tych wsiach, które się w bliskości lasów znajdują, gdyby wolno było paść w lasach księcia pszczyńskiego, bo trawy tam jest pod dostatkiem przeznaczonej dla dzików i jeleni. Trawa marnieje, a bydło cierpi głód. Na przemysłe skutki suszy także się odbiły. Przemysł młynarski, używający wody do pędzenia młyna, musiał stanąć. Przemysł gorzelniany poniesie

szkody z powodu nieurodzaju ziemniaków. Podobnie ucierpią fabryki mączki cukrowej, fabryki cykoryi i szlifiernie szkła. Przedewszystkiem ucierpiała żegluga na rzekach śląskich, szczególnie na rzece Odrze.

Wrocławska spółka żeglarska posiadająca 24 parowce i 58 wielkich łodzi, nie może ich z miejsca ruszyć. Wzdłuż Odry leżą na piaskach liczne tratwy. Między portem Kozielskim a ujściem Nisy naliczono 1500 łodzi leżących tam na mieliźnie od połowy maja. Rybołówstwo śląskie, kwitnące w zwykłych czasach, jednym zamachem zostało podcięte. Rzeki, rzeczki, stawy powysychały, ryby oraz narybek zniszczony. Miejscami widać setki tysięcy ryb martwych. Hodowcy pstrągów rozpaczają, bo wszystkie ich zachody na darmo.

Hodowcy i handlarze kwiatów w tym roku nie mieli żadnego z nich dochodu, bo kwiaty pomimo pielęgnowania zeschły zupełnie.

Z powodu klęski posuchy.

Z Gorlic piszą nam: Tutejsza Rada powiatowa przedsięwzięła energiczne kroki w celu przyścia z pomocą mieszkańcom powiatu, dotkniętym klęskami pożarów i posuchy. Powzięto też uchwały mające na celu podjęcie starań o przyznanie daleko idących ulg taryfowych przy dostawach paszy i nawozów sztucznych, o materyalne zasiłki na zakupno ziemniaków i paszy, o dostarczenie soli bydłowej i o ulgi podatkowe. Nadto powzięła Rada powiatowa donieść postanowienie zniesienia wszystkich myt w powiecie z dniem 1 stycznia 1905 roku i starania się wśród Rad powiatowych krajowych akeyi w celu wyjednania zniesienia uciążliwych dla ludności myt krajowych. W zamiarze zapobieżenia szerzeniu się pożarów, uchwaliła Rada powiatowa w najkrótszym czasie założenie fabryki dachówek, którąby włościanie zakupując po cenach wyrobu, pokrywali nią swe dachy.

Klęska posuchy.

W powiecie Nowy Sącz, Limanowa i Nowy Targ była tak wielka, że trudno sobie wyobrazić, a tym dotkliwszą, że powiaty te były nawiedzone w zeszłym roku straszną powodzią. Brak wody sprawia ludziom i zwierzętom straszną mękę, wskutek tego szerzą się choroby i częste wypadki udaru słonecznego. Zawiązał się w Łącku komitet ratunkowy, ażeby po zbiorach zasiał rzepy, groch, wykę i bobik na paszę dla bydła i uprosić właścicieli większych posiadłości do od-

stąpienie włościanom po niskich cenach zboża i paszy.

Przed zbiorami jesiennymi.

Stan zasiewów według wykazu ministerstwa rolnictwa w Austrii stwierdza, że z powodu braku deszczu zachodzi obawa nieurodzajów, a szczególnie paszy. Zbiory zboża prawie wszędzie ukończono o dwa tygodnie wcześniej jak zwykle. Co do jakości zbiorów pszenica przeważnie mierna, po części niekorzystna; zbiory żyta średnie, jęczmień wogóle słaby, zbiory owsa mniej słabe, lecz w niektórych okolicach północnych całkiem się owies nie urodził. Zbiory kukurudzy przy obecnie częstych deszczach mogą się jeszcze poprawić. Ziemiaki wogóle wszędzie zagrożone. Szkody w burakach cukrowych bardzo znaczne. Korzystne widoki winobrania w krajach nadbrzeżnych, szczególnie w Dalmacyi, wskutek posuch zmniejszył się, w Krainie, na Morawach, w Dolnej Austrii i Styryi, widoki słabe. Widoki owocobrania dobrego bardzo się zmniejszyły. Zbiory chmielu w wschodniej Galicyi są bardzo słabe, w zachodniej Galicyi w niektórych miejscowościach są zadawalające.

Zbiory na Węgrzech.

Urzędowy wykaz stanu zasiewów ministerstwa rolnictwa na Węgrzech podnosi, że z licznych prób młocki można już sobie wyrobić wynik zbiorów, które odnośnie do kukurudzy i paszy, są bardzo smutne. Brak deszczów tak przyspieszył żniwa, że młócenie czterech głównych gatunków zboża już ukończone. Co do innych, zachodzi jeszcze obawa. Zbiory ziemioplodów wogóle dosyć korzystne, szczególnie pszenica, którą nie dotknęła żadna klęska żywiołowa.

Urodzaje w Królestwie Polskiem.

Wydział zestawień powiadamia o spodziewanych wynikach urodzaju zbóż i traw w całym kraju. Według tych danych widzimy, iż panująca susza pogorszyła bardzo stan zasiewów zimowych, a opóźniła zboża jare. Mucha heska pojawiła się w niektórych miejscowościach w gubernii płockiej i piotrkowskiej; inne owady grasowały tu i ówdzie. W gubernii płockiej znaczne szkody wyrządziły myszy polne. Wogóle urodzaje lichy; z powodu posuchy kłós nie mógł się należyście rozwinać, wyniki wypadną bardzo słabo.

Urodzaje i zbiory w Galicyi.

Stan urodzajów i zbiorów w połowie sierpnia w zachodniej Galicyi w zupełności po-

twierdził obawy, jakie do nich przywiązywano z powodu posuchy. Na ogół oziminy dały wynik nienajgorszy, nawet dobry co do zbioru słomy, jak i co do ziarna, przeciętny zbiór pszenicy i żyta jest średni. Jarzyny na ogół wydają mierny zbiór, szczególnie okopowe. W niektórych okolicach ziemniaki nawet wcale się nie zawiązały, buraki mają liście spalone, kapusty prawie wcale nie ma; w pobliżu Krakowa widzimy, że tak źle nie jest, bo ziemniaki na łąkach dosyć zielono wyglądały. Tylko paszy dla bydła brak zupełnie, pierwsza koniczyna wydała zbiór mierny, o drugiej już i mowy niema, bo wszystko wypalone, jak również i łąki, nawet w wilgotnych miejscach trawa nie obrastała. Dopiero te deszcze które spadły we wrześniu, może coś jeszcze polepszą.

O pomoc rządu dla kraju.

Zarząd Związku katolicko-społecznego we Lwowie wystosował prośbę do Namiestnictwa z żądaniem doraźnej pomocy dla Galicyi, nawiedzanej ostatnimi klęskami, pożarami i posuchą. Zniszczone plony, wypalone pastwiska, wyschnięte łąki i koniczyny, oto obecny obraz większej części naszego kraju. O ile tegoroczna klęska posuchy wyrządziła milionowe szkody całemu krajowi, o tyle mieszkańcom niektórych powiatów jak n. p. limanowskiego, nowosądeckiego, wielickiego, bocheńskiego, turczańskiego, stryjskiego, liskiego, jakoteż wogóle całego podkarpacia, zupełna zagraża ruina. Na domiar złego, niebываła ilość pożarów obróciła w perzynę kilka miasteczek i setki wsi w całym kraju. Skutki tych strasznych żywiołowych klęsk już widzimy, bo włościanie, nie mając paszy, wyprowadzają na targi cały swój dobytek, cały inwentarz, i o ile mogą znaleźć nabywców, wysprzedają za bezcen. Jeżeli nasze władze nie złagodzą choć w części i jak najrychlej skutków tej strasznej klęski, to nastąpi ruina ogólna, a cała wielka gałąź gospodarstwa krajowego oparta na chowie bydła, zostanie zniszczoną na długie lata.

Burze w Ameryce.

Cały południowy zachód Stanów Zjednoczonych został nawiedzony strasznymi burzami. Tysiące morgów roli uprawionej w Kanzasie i Nebrasce stoi pod wodą, zbiory zniszczone, komunikacja kolejowa przerwana. Ulice w wielu miejscach zamieniły się w rwące potoki; mieszkańcy musieli chronić się na wyższe piętra.

Trąba wodna spustoszyła miasto Clipton, W Kanzasie 10.000 ludzi bez chleba i dachu zostało.

Przestrach zbożowy w Ameryce.

Piszą z Londynu: Niebawem strach zbożowy powstał wczoraj na wszystkich giełdach amerykańskich, a spowodowały go wieści z północno-zachodnich krajów, w których po długiej posusze, deszcze zadały rolnictwu ciężką klęskę. Zniwa wypadły z tego powodu znacznie gorzej, niż to przedstawiały najgorsze przepowiednie.

Mróz w lipcu.

Ze wschodniej Galicji donoszą nam, że w dniu 21 lipca był mróz tak silny, że w miejscach niżej położonych nie tylko wiele jarzyn jak n. p. groch, fasolę, ogórki, hreczkę i kukurudzę zmroził, ale nawet liście i kwiaty kartofli. Miejsca te wyglądają zwarzone i poczerniałe. Ogrody i pola wyżej położone, nie zostały mrozem dotknięte.



Co robić w razie braku paszy i ściółki?

Na tak postawione pytanie najprostsza byłaby odpowiedź następująca: Jeżeli do należytego przezimowania zwierząt niema paszy, to trzeba jej dokupić albo wyzbyć się części dobytku. Na głodzenie zwierząt żaden dobry i ludzki gospodarz nie przystanie, bo wie, że z takiej hodowli miałby tylko stratę.

Po większej części klęska braku paszy wynika wskutek niezastosowania się gospodarzy do dawnego zwyczaju pozostawiania z roku na rok przynajmniej piątej części paszy, głównie siana i słomy, potrzebnej dla przezimowania dobytku. Kto dojdzie do tej przeczności i stale będzie się trzymał dawnego zwyczaju, ten nigdy nie zakłopocze się z przyczyny braku paszy.

Dobra to rada, ale na przyszłość; na złagodzenie jednak obecnej biedy, czynimy następujące uwagi, odnoszące się głównie do gospodarstw niezamożnych, średnich i małych.

1. Zaprzestać podścielać słomistą paszą i tak zwanymi niewyjadkami owczarnianemi.

Podścielać tylko pod przodki, a wygarnięty gnojn mieszając z torfem lub ziemią z rowów lub kałuż i wynosić codziennie na gnojownik. Z tego gnoju urabiać komposty przez mieszanie go z chwastami, pielidłami, popiołami, śmieciami i z innymi zdatnymi na nawóz rzeczami.

2. Zaprowadzić ścisły nadzór nad paszą, aby nie marnowała się przy karmieniu zwierząt i nie była wynoszona pokryjomu. Ostrzegamy jednak, że taki nowozaprowadzony ścisły nadzór trudno tam wprowadzić, gdzie służba do niego nie przywykła od samego początku sprzętu paszy i od rozpoczęcia młocki.

3. Zastosować najtańszy i łatwy sposób przyrządzania karmy, przez samozagrzewanie w skrzyniach rozdrobionej i zmoczonej wodą letnią lub zimną, twardej lub nadbolałej paszy słomistej, poddenków i poszywek z dachów, w pomieszczeniu z sieczką lub miałem z kory młodej, gałązek tegorocznych z wierzbiny i innych drzew i krzewów liściastych, oczyszczonych z ziemi; perzu, łęcin, wrzosu, rzezęg, wisiorów, strączyn łubinowych i rzepakowych, nawet z konieczności torfu wierchniego korzeniastego i t. p. Wyborna byłaby także i łuskwia gryczana. Zaznaczamy, że przy drobnej karmie, trzeba zwierzętom przeżuwać dawać raz na dzień trochę całkowitej słomistej paszy.

4. Zbywającemi na sprzedaż ziemniakami, warzywem i zbożem, wzmacniać pożywność jałowej karmy. Taniej to wypadnie niż kupno paszy do tego celu przydatnej.

5. Wybrakować i sprzedawać sztuki nie opłacające kosztownego żywienia. Sztuki, których sprzedać nie można, zamiast za byle co zbyć, lepiej rzezać i mięso suszyć, wędzić i w przewiewnym, suchym miejscu zachować.

6. Utrzymywać zwierzęta ciepło i sucho, lecz nie duszno, bo im zwierzęciu zimniej, tem obfitszej i tłustszej karmy potrzebuje.

7. Wcześniej na wiosnę, zwłaszcza zbiedzone głodem zwierzęta można ostrzydzić, a prędzej się poprawią. Sprzężają przy częściej karmie nie używać do ciężkiej pracy, a lepiej dać mu zupełny odpoczynek.

8. Karmę dawać w małych dawkach, a częściej — i w jednej porze. Niewyjadki mieszać z popruszoną po nich ospą i z drobno posiekanym warzywem. Resztki zaś rozgarniętej karmy popruszyć odrobiną miakkiej soli. Poić zwierzęta w chlewie letnią, czystą



Pomnik Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu.

wodą a nie zmrożoną, parę razy na dzień. Utrzymywać skórę zwierząt w ciągłej czystości od brudu i robactwa, i codziennie na pół godziny wypuścić na powietrze dla ruchu.

Nie tyle jakość karmy wpływa na dobroć żywienia, ile właściwe rozłożenie podczas doby racyi karmy, zadawanych zawsze o jednej i tej samej porze, bacząc, aby zwierzę bez karmy nie stało długo nawet w nocy.



Pożary.

O strasznym pożarze Brzeska mamy takie wiadomości: Pożar wybuchł o godzinie 11 przed południem, w małym domku parterowym od strony Okocimia. W domu tym odbywało się wesele i prawdopodobnie któryś z uczestników przez rzucenie niedopalonego cygara, wznicił ogień. Wskutek długiej piosuchy dachy gontowe były tak suche, iż niespełna w trzy godziny prawie trzy czwarte części miasteczka spłonęło zupełnie. Spaliło się całe śródmieście z prowadzącymi ulicami do rynku. W miejscowym kościele odbywało się właśnie nabożeństwo z okazji wprowadzenia nowego proboszcza. Kiedy wieść o wybuchu pożaru doszła do kościoła, zgromadzeni parafianie zaczęli się tak cisnąć do wyjścia, iż pewnoby się byli podusili, gdyby nie księża, którzy starali się lud uspokoić, iż spokojnie kościół opuścili. Księża, dokończywszy nabożeństwa, przewieźli Przenajświętszy Sakrament do pobliskiego kościoła w Okocimiu. W chwilę potem zaczął już płonąć dach kościoła, który też cały spłonął. Zgorzał także mały starożytny kościółek pod wezwaniem św. Ducha, spłonęła i apteka. Starostwo, sąd i urząd podatkowy ocalały, bo są oddalone od śródmieścia. Ogółem zgorzało 400 budynków, licząc w to i zabudowania gospodarskie, a szkoda przenosi milion koron.

Na miejsce pożaru przybyły wezwane telegraficznie straże pożarne z Krakowa, Tarnowa i Bochni. Straż okocimska pierwsza przyjechała. Przybyło także z Krakowa i Tarnowa wojsko do pomocy w rynsztunku. Jadący tam korespondent tak swe wrażenie opisuje:

Już od Bochni czuć gorący powiew wiatru, niosący woń pożogi. Na stacyi w Słotwinie, oddalonej o trzy kilometry od Brzeska, pełno dymu. Na gościńcu do Brzeska miejscami trudno przejechać, ludzie z okolicy spieszą do płonącego miasta, a tegoż mieszkańcy uciekają z niego, unosząc co mogą. Jedną z ulic wiozą beczkę wody, tłum otacza ją, broniącego ją woźnicę zrzuca w popiół i gruzy, wywraca wóz, woda się wylewa a spragnieni rękami i kapeluszami czerpią ją i niosą do ust. Zmrok potęguje zamieszanie; jak okiem sięgnąć, morze płomieni. A nad miastem przeciąga sucha burza, huragan miota płomienie. Nareszcie dzięki krakowskiej straży pożarnej ogień umiejscowiono. Całą pracę ratunkową podzielono na dwie części, jedna część zlewała dachy domów prowadzące do ulicy Bocheńskiej, druga do Słotwińskiej, dzięki temu, ogień się dalej nie posuwał.

Na drugi dzień straszny widok przedstawiało spalone miasteczko. Po obu stronach ulic i naokoło rynku rude dymy snują się po pogorzeli. Niedopalone belki sterczą pomiędzy gruzami. Z budynków murowanych pozostały czarne ściany, a przez otwory okien widać zgliszcza. Tu i owdzie snują się okopcone postacie ludzi, grzebiąc w zgliszczach, szukając czy ogień nieocalił coś z ich majątku. Pola okoliczne przemienione na obozowisko. Pod gołym niebem siedzą nieszczęśliwi pogorzelcy w pośrodku stosów ruchomości, które ocalili, bo wojsko przybyłe z Tarnowa (500 ludzi z pułkownikiem z 57 pułku p.) wzięło żywy udział w ratunku. Żołnierze pracowali przy sikawkach, inni wynosili z płonących domów rzeczy i wywozili je na pole. Największe zasługi położyli tu p. Wójcik, brandmistrz straży krakowskiej, który z całą przytomnością kierował akcją ratunkową. Towarzyszył mu wszędzie i pracował z poświęceniem inżynier kolejowy p. Winkler. Całością akcji kierował nieustraszenie starosta brzeski p. Trzaskowski, nieustannie konno objeżdżając całe miasto. On też utworzył zaraz komitet, niosący pierwszą pomoc nieszczęśliwym pogorzelcom.

Znaleźli się i tu ludzie, którzy chcieli korzystać z cudzego nieszczęścia. Gdy przywieziono z Okocima wóz piwa, ofiarowany przez p. Götza dla ratujących, gromada włóczęgów otoczyła wóz, rozkradła beczki, a upiwszy się, grabiła sprzęty i towary ze sklepów, złożone na ulicach. Jakiś pijany wieśniak z okolicy wpadł do sklepu i zaczął rabować to-

wary; gdy mu w tem przeszkodzono, porwał leżący siekacz i poranił kilka osób. Aresztowano ogółem kilkanaście osób, a pomiędzy temi i kilku żołnierzy.

W godzinę po wybuchu pożaru płonął już cały rynek z kościołem i plebanją. Wśród snu pu iskiek runęła wieża kościelna z dzwonami. Mieszkańcy osmoleni dymem wybiegają na ulice. Większość prawie nieprzytomna, nie wiedzą co robić; wynoszą bezużyteczne przedmioty a wartościowe zostawiają na pastwę płomieni. Tu i owdzie widać omdlałych od gorąca i dymu. Słychać błagalne krzyki o wodę, ale ani kropli nie można już znaleźć. Z rynku wybiega kobieta z rozwianemi włosami i krzyczy przeraźliwie, ledwo ją można zrozumieć, że błaga o ratunek dzieci w palącym się domu. W płomień rzuca się strażak krakowski i po chwili cały czarny, ślaniając się, wynosi dwoje dzieci na rękach. W innem miejscu stary żyd wśród płomieni, otoczony rodziną, zawodzi obłąkane modły, a około niego gromadzą się tłumy współwyznawców, jęcząc żałośnie. W ulicy Tarnowskiej gromada głodnych woła o chleb i groźnie otaczają budynek starostwa. Na telegraficzne wezwanie przywożą ze Słotwiny zapasy żywności, a tłum rzuca się na jadło.

Na trzeci dzień po pożarze nawiedziła to nieszczone miasteczko straszna burza, czego nie zniszczył ogień, to drugi żywioł dokonał spustoszenia. Od zachodu zerwał się tak gwałtowny wichur, że przewracał wozy i ludzi, wyrzywał drzewa z korzeniami, a nagromadzone na ulicach sprzęty wyrzucał w górę i rozbijał na kawałki. Nadociągnęły czarne chmury i zapanowała zupełna ciemność. Przy błyskawicach i piorunach, bijących jeden po drugim, lunął ulewny deszcz z gradem. Ogrody i pola podmiejskie w jednej chwili zostały zamienione na jeziora, po pochyłych ulicach płynęła woda, niosąc niedopalone belki i sprzęty. Huragan sprawił ogromne spustoszenia, niszcząc domy i inne zabudowania gospodarskie. Najcięższą stratą dla mieszkańców jest zniszczenie kościoła, ratowanego przez straż krakowską z takim wysiłkiem. Wichur powalił na nim mur ogniowy, który całym ciężarem runął na przepalony dach, przełamał go i zwałił sklepienie. Od wstrząśnięcia popękały ściany boczne, obsypując się na dół. Ukochna przez parafian świątynia przedstawia dziś jedną, wielką kupę gruzów, z pod której niewidać ani ołtarzy, ani ławek. Grad zniszczył wszystkie plony, poranił na polu koczujących po-

gorzelców, i dzieci, najcenniejsze przedmioty ich majątku.

Pożar puszczy Niepołomickiej.

W Niepołomicach, w starodawnym Kaziemierzowskim zamku, mieści się sąd powiatowy i zarząd leśny. Podwórze tego zamku zdobią piękne arkady, podobne do tych, które są na zamku na Wawelu, godne widzenia dla miłośników starych zabytków.

Pożar puszczy powstał prawdopodobnie wskutek nieostrożności pasterzy, którzy pasąc wieczorem konie, lubią rozniecać ogień. Wobec niezwykłej posuchy, każde ździebło trawy jest podatnym materyałem do wzniecenia ognia. Ogień wybuchł w okręgu lasowym Gawłówek, przy granicy Stanisławie; wypaliło się lasu wraz z łąkami około 50 morgów. Dzięki energicznej służbie leśnej i pomocy ludności okolicznej, ogień chwilowo umiejscowiono. Ale ogień wewnątrz ziemi ukryty, posuwał się dalej, a przy silnym wietrze wydobyl się znów na zewnątrz, tak, że oprócz poprzednich 50 morgów spaliło się jeszcze 150. Las przeważnie sosnowy palił się chyżo, dopiero zawezwane wojsko z Niepołomic, Bochni i Krakowa, pracując przez kilka dni, potrafiło stłumić pożogę. Objęty ogniem obszar otoczono naokoło na 80 kroków szerokim pasem, wycinając nań drzewa i niedopuszczając dalszemu szerzeniu się ognia. Pokopano małe studzienki, w których znajdowała się woda albo gęsty muł, którym palące się miejsca gasili.

Smutny obraz zniszczenia przedstawia wypalona puszcza. Ogromny obszar młodych sosenek, jedne jak szkielety stoją na czarnej ziemi, wyciągając do nieba opalone cienkie swe gałązki, inne, słabsze, całym pokotem leżą na ziemi. Stare drzewa, gdy im się już korzenie doszczętnie spaliły, waliły się na ziemię, pociągając i inne za sobą. Całość przedstawia bardzo smutne, czarne cmentarzysko.

Sokolów, miasteczko w okręgu rzeszowskim, stało się pastwą pożogi. Wszystkie domy mieszkalne wraz z kościołem i synagogą żydowską, spłonęły doszczętnie.

W *Rozwadowie*, spaliło się pięćdziesiąt kilka budynków.

W *Przybyśzówce* pod Rzeszowem spłonęło sześć domów, należących do robotników ceglarnianych. Pastwą płomieni padły nie tylko domy i zabudowania gospodarcze, ale i cały inwentarz i dwoje nieletnich dzieci.

W *Tarnawcach* pod Przemyśłem wybuchł

pożar przy silnym wietrze, który pochłonał doszczętnie 14 domów wraz z zabudowaniami gospodarskimi. Pastwą płomieni padło parę koni.

W *Suchodolach* spłonęło 14 budynków gospodarskich z wszystkimi zbiorami, także stajnie, spichlerz i stogi ze zbożem dworskiem.

W *Nisku*, jakaś zbrodnicza ręka podłożyła ogień w lesie hr. Ressegneura, spłonęło około 50 morgów lasu. Ma to być zemsta chłopów za zakaz zbierania gałęzi po lesie.

W *Bycinie*, powiat limanowski, sześćdziesiąt kilka domów padło pastwą płomieni wraz z całą krescencją.

W *Porębie*, w powiecie limanowskim, w do-
brach hr. Antoniego Wodzickiego spaliło się przeszło 100 morgów lasu.

W *Lacku*, powiat dobromilski, spłonęła stodoła włościańska, a w płomieniach zginął 60-letni staruszek, żebrak, który tam stale nocował.

Z *Alwernii*, powiat chrzanowski donoszą: W czasie rozpoczynających się żniw, gdy ludność cała była w oddalonych polach, powstał pożar we wsi Jankowice, którego pastwą padło 22 domy i 12 stodół wraz z zebraniem sianem i żytem. Kilku z sąsiadów powybijało okna, ratując zamknięte w domach dzieci i trochę sprzętów. Przybyła straż pożarna z Alwernii i Poręby, oraz sikawka miejscowa, także sikawki z Babie i Rozkochowa pod nadzorem przybyłej licznie żandarmerji z Lipowca; zdołano uratować trzy zagrożone domostwa. Ludność tej wsi pada po raz trzeci ofiarą żywiołowej klęski, przez dwa lata poprzednie powódź straszliwie niszczyła całe plony, obecny pożar doprowadza nieszczęśliwych mieszkańców do żebraczego kija. Znana ofiarność naszego społeczeństwa może choć w części zechce ulżyć przerażającej klęsce. Łaskawe datki nadsyłać można na ręce X. proboszcza Konopińskiego w Babicach.

W *Jasińskich*, w powiecie lwowskim, spaliło się kilkanaście zagród włościańskich, dwoje dzieci i kilka sztuk bydła.

W *Buszkowicach*, powiat przemyski, pożar zniszczył 15 domów włościańskich z całym dobytkiem, ludzie ledwo z życiem pouciekali z płonących domów; na miejscu nie było ani jednej sikawki, ani żadnych przyrządów ratunkowych.

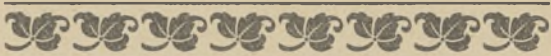
Z *Rożniatowa* donoszą: Ogień, który nawiedził tutejsze miasto, zniszczył kilkanaście domów z zabudowaniami gospodarskimi, zbożem i paszą dla bydła, a nadto pastwą po-

żaru padło dużo sadów. Brak paszy i chleba daje się strasznie odczuwać, oczekiwać możemy wielkiej nędzy, gdyż prócz klęski posuchy, pożary bardzo często miasteczko to nawiedzają. Wody jest tu poddostatkiem, bo na górze nad miastem jest staw, z którego tylko kanał przeprowadzić, a wody będzie dosyć. Ale niema komu bronić i ratować od ognia, bo straży pożarnej tu dotąd niema. Ludność tutejsza jest tak przestraszona częstymi pożarami i przepowiednią, że jeszcze raz miasto będzie się palić, iż kładą się spać w ubraniach i są bardzo przygnębieni.

Miedzy *Woronienką* a *Worochtą* w bliskości Czarnohory wzdłuż toru kolejowego spłonął także kawał lasu. Stu huculów z pomocą wojska pożar umiejscowiło.

Z *Wielkiego Warazdynu* na Węgrzech donoszą: Lasy należące do tutejszego biskupstwa, objętości 300 morgów przepadły w płomieniach, akcja ratunkowa była niemożliwą z powodu szalejącego wiatru. W pobliskiej miejscowości *Negyharsany* spłonęło 35 domów.

We *Francji* w miejscowości *Saint-Etienne* pożar wybuchł nocą w szpitalu; brak wody utrudniał ratunek; z popłochu skorzystali złoczyńcy, okradli mieszkania Sióstr miłosierdzia i aptekę. Również spłonęły lasy w *Eoteret*, także w *Bofte* i w okolicach *Tulun*. Doliny leżące w pobliżu lasów stały w płomieniach.



Wiadomości gospodarcze.

Podział paszy przed zimą.

W tym roku, gdzie klęska posuchy nawiedziła kraj nasz cały, gospodarze muszą się dobrze obliczyć czy im paszy dla bydła przez zimę wystarczy. Dni, w których karmić mamy bydło suchą paszą, można rachować 200, bo wczesna jesień i późna wiosna często się u nas zdarzają. A że na jedno bydlę dziennie potrzeba 12 funtów paszy, więc jeżeli bydlę waży 500 funtów, to na czas zimy dla niego trzeba przygotować 12 cetnarów suchej paszy. Niechże gospodarze, szczególnie młodzie i niedoświadczeni pamiętają o tem, żeby im ku wiosnie nie brakło paszy. Okopowiny, jak ziemniaki, buraki, marchew, głąbie od kapusty, także trzeba obliczyć, żeby wiedzieć, ile dziennie można wydawać. Spaszać trzeba najpierw te jarzyny, które pod-

padają zepsuciu, buraki chować trzeba na ostatek, bo te są najwytrwalsze. Gdy z wiosną ziemniaki kiełkują, nie należy wtenczas dawać ich bydłu, bo są szkodliwe, szczególnie dla krów cielnych. Wołom roboczym trzeba w odwecie dobrze jeść dawać, żeby miały siłę do wiosennych robót w polu. Makuchy, a szczególnie otręby, które w tym czasie stanowią ważny artykuł paszy, trzeba o ile możliwości kupować z pierwszej ręki, tj. w młynach, bo handlarze chcąc uzyskać większą w nich wagę, dodają różne domieszki, które są szkodliwe dla bydła. W zimie należy codzień regularnie zadawać paszy bydłu i poić go; opatrzyć dobrze stajnie, żeby bydło było ciepło i przewietrzać je często, żeby bydło oddychało powietrzem świeżym i czystym. W początku zimy wypasać słomę mniej smaczniejszą, bo bydło rozepchane na pastwisku zje ją prędzej. Młodzieży nie żałować dobrego siana.

Liście z drzew na paszę. W tym roku, gdy zbiory paszy wszędzie zawiodły, należy bardziej niż kiedyżytkować liście na paszę. Zebrane we wrześniu są najpożywniejsze. Potem, żółknące, mniej już są pożywne, ale zawsze bydło je zjada. Zbiór liści z drzew łatwo się dokonywa; chłopcy z ostrymi nożami lub małemi siekierkami włączają na drzewa liściaste i podkrzesują ostrożnie, aby drzewa nie kaleczyć. Gałązki spadają na ziemię, a tam je kto bądź wiąże w snopeczki i ustawia pod drzewem od słonecznej strony. W dnie pogodne liście wysychają prędko i z przedstawianiem ich niewiele jest roboty. Gdy doschną, można je zabierać i chować na poddasze, lub w brogi, do stodoły, wreszcie większą ilość w sterty.

Kozy, owce i bydło rogate chętnie zjadają liście z drobnymi gałązkami. I konie także nie gardzą tą paszą.

Skarmiać ją należy dając codzień mniej-więcej tyle, aby starczyło całego zapasu na 200 dni zimy.

Pasza z liści służy zwierzętom znakomicie; gorycz w liściach zawarta utrzymuje trawienie i wzmacnia żołądek. Jest to pasza dodatkowa, bardzo przydatna przy paszy głównej, szczególnie przy okopowiznach, lub przy wodnistych odpadkach fabrycznych jak wyżymki z cukrowni, pulpa z mączkarni, wywar, pomyje i t. p. Jest ona tak pożywna, że potrzeba nawet ostrożności i codziennego dozoru, aby zbyt wielka ilość nie rozpałała krwi, czego zwłaszcza obawiać się należy, spasając wysuszone liście i gałązki dębu.

Liście topoli, osiki, klonu, jaworu, buku, akacyi, brzozy, leszczyny, olszy, są wszystkie bardzo pożywne. Icie zaś lipy i wiązu żywią jak dobre siano łąkowe;

należy więc zbierać je na paszę, jeżeli tylko owady nie zanieczyściły ich tak, że są niezdadne do użycia.

Niechże każdy, kto ma żywiznę, korzysta z krótkiego już czasu i zbiera zapas liści z drzew leśnych, przydrożnych i ogrodowych. Ale samych drzew nie psuć!

Kiszona pasza. Wiadomą jest rzeczą, że kwas bydłu służy, a tem większą może mieć wartość kiszona pasza w tym roku, gdzie jest tak mało paszy. Na kiszoną paszę prócz wszystkich roślin pastewnych, które to najwięcej kisiną w mokre lata, można brać także i lęciny (badyle) z kartofli i nać z marchwi, a te dwie rzeczy to już u nas prawie wszędzie wyrzucają. W tym roku gdzie jest taki brak paszy, a ziemniaki przecież każdy gospodarz ma na swym polu, nie powinno się więc żałować tych małych kosztów na urządzenie dołu do kisenia paszy. Na podwórku w bliskości stajni, wymurować dół okrągły, mniej więcej 15 stóp głęboki i 8 stóp średnicy mający, a dno trzeba wyłożyć ceglami. Większe doły być nie powinny; jeżeli jeden nie wystarcza, to trzeba zrobić kilka dołów tej wielkości, ale nigdy większe. Kto ma na podwórzu grunt głęboko nieprzepuszczalny, gliniany, nie potrzebuje dołu murować, ani też dna ceglami wykładać, potrzebuje tylko wybrać odpowiedniej wielkości dół. W tych dołach zakisza się pasza tym samym sposobem co kapusta w beczkach. Można brać wszystko, byle zielone i świeże: Wyka, lucerna, liście kukurudzy, kapusty, buraków, brukwi, marchwi, lęciny z ziemniaków, co bądź powiadam, byle nie truciznę i w stanie świeżym, nie zwiędłe i nie zaprzzone. Kukurudzę, koński ząb, lucernę, wykę, lęciny ziemniaków, nać marchwi trzeba dopiero pociąć na sieczkarni na grubą sieczkę, liście kapusty, buraków itp. można brać całe; układać warstwami w dole, dobrze ubijać przesypując solą czerwoną (bo tańsza a skutek jednakowy). Im wyżej, tem więcej trzeba soli. Jeżeliby ktoś chciał kosztu oszczędzić, to może soli wcale nie dawać, a kiszona pomimo to będzie dobra, jeżeli te warunki będą wypełnione, jakie podajemy. Lepiej jednak jest dodać soli do zaprawy kiszonych, bo przecież i tak bydło sól dajemy a więc oszczędności by tu wcale nie było. 1) Pasza musi być świeża; zwiędła i zaparzona na gromadzie, pewnie się popsuje w zakiszeniu. 2) Pasza zwiędła na wpół nawet sucha da się jeszcze zakisić, byle nie była na gromadzie zaparzona. Biorąc paszę zwiędłą do kisenia, trzeba koniecznie solą przesypywać i każdą warstwę wodą polewać, woda musi tu zastąpić wilgoć, jaką zielona pasza przez ubijanie sama z siebie wydaje. Nawet biorąc świeżą paszę, można ją polewać wodą. Sok jaki się przy ubijaniu roślin wytwarza, zapobiega pleśnieniu paszy w dołach. 3) Dopelnwszy dołu, narzucić natychmiast suchej ziemi dwie stopy wysoko, ubić ją doskonale, aby odciąć wszelki przystęp powietrza. Gdzieby

doszło powietrze, tam pokaże się pleśń. Nazajutrz, pasza rozparzywszy się, opadać będzie a wskutek tego będą się robiły szpary w narzuconej ziemi, te szpary trzeba codziennie silnie ubijać, narzucając jeszcze trochę ziemi, aby pokrywa była szczelna i nie przepuszczała powietrza a w zimie mrozu. 4) Dopelnienie dołu i pokrycie go ziemią, musi się stać w jednym dniu. Skoro u spodu dołu pasza się grzać poczyna a u góry przystęp powietrza jeszcze nie wzbroniony, zaczyna się proces fermentacyjny, który z przystępem powietrza wszystko w zgniliznę obraca. Mróz zuiczuła kwas; dlatego też trzeba uważać, aby do kiszkonki mróz nie doszedł. Paszenie kiszkonką z tego powodu można rozpocząć dopiero wtedy, kiedy już tęgich mrozów obawiać się nie potrzeba, bo otworzywszy dół, zapuszcza się mróz, a o ile kiszkonka mrozu dostanie, o tyle ustępują z niej kwasy i gazy. 5) Nie należy brać nigdy z całej powierzchni, ani też całej powierzchni odrazu odkrywać, tylko odkryć kawalek i ten wybrać aż do dna i znowu kawalek odkryć i znowu wybrać aż do dna. Kiszkonkę zadaje się bydlu domieszaną do szezki. Biorąc do zakiszenia lęciny kartofli, trzeba uważać, aby je nie brać za wcześnie, bo by przez to kartofle ucierpiały. Trzeba czekać, aż lęcina zwiednieje i żółknie i nachyla się ku dołowi, to wtedy można ją już brać, ścinać, sieć na sieczkarni i zaraz kisić. *L. H.*

Przechowywanie jarzyn na zimę.

Cebulę najlepiej przechowywać na strychu, na domu mieszkalnym. W czasie mrozów trzeba ją okryć słomą, a gdy nastanie odwilż przewietrzyć trochę, uchylając słomy.

Pory zadołować na zagonie, tak jak rosły, a na zimę przykryć liściem lub nawozem.

Jarmuż doskonale zimuje na miejscu gdzie był posadzony.

Kapustę przechowują dwojakim sposobem: Można wykopać rowek stopę szerokości i tyleż głęboki, w rowku układać kapustę nie obraną z liści, główkami na dół a korzeniami do góry, potem zasypać rowek wykopaną ziemią, a po pierwszym mrozie przykryć liśćmi lub nawozem. Można też oczyszczoną kapustę z liści i korzeni układać w piwnicy na pułkach zrobionych z tyczek, żeby miała przewiew. Kapusta jednak w taki sposób przechowywana, łatwo się psuje, trzeba często do niej zaglądać i nadgniłe listki obrywać. Kapusta włoska i czerwona przechowuje się w taki sam sposób.

Kalafiori, trzeba ile można wykopywać z ziemią i oczyścić trochę tylko z liści, dołować ich w piwnicy, sadząc jeden przy drugim tak, jak rosły w ogrodzie; w miarę

wysychania, ziemię trzeba potrochu podlewać, ale nie maczać liści, żółkłe zaś liście obrywać.

Buraki, karpiele i kalarepę przechowuje się zupełnie tak samo jak ziemniaki. Selery, marchew i pietruszkę przechowuje się najlepiej w ogrodzie. Wykopać rów pochyły w suchym miejscu, tam układać jarzyny, żeby jedno drugiego nie dotykało, przesypując wykopaną ziemią; tak postępować, aż rów się napełni. Nakryć z wierzchu ziemią, a po pierwszym mrozie przykryć liśćmi lub nawozem.

Solenie masła na zimowe potrzeby.

Wrzesień i październik, oto miesiące najlepiej nadające się do solenia masła na zimę. Dobre i twarde masło zaraz po zrobieniu raz i drugi w czystej wodzie dobrze wypłukać, ułożyć w dużej misce, posolić, drewnianą łyżką dobrze przerobić, aby sól wszędzie jednakowo doszła i wystawić na parę dni do suchej, chłodnej i ciemnej spiżarni lub piwnicy, rozumie się nie zatęchłej. Najdalej po tygodniu odlać wodę, która się utworzyła z soli, masło przełożyć na suchą miskę, aby reszta wody odciekła, tymczasem wziąć faskę, która powinna być koniecznie dębowa lub lipowa, gdyż w sosnowych masło się źle trzyma, daleko lepsze niż sosnowe faski są kamienne lub polewane garnki. Wziąć więc faskę lub garnczek, wysypać spód i boki miazką solą i układać masło, soląc go warstwami. Gdy faska jest już pełna, dać na wierzch na 1 cm. grubą warstwę soli, nakryć czystą płócienną szmatką, potem denkiem i postawić w piwnicy lub spiżarni, ale nie na ziemi i nie na oknie, tylko na pułce. Po miesiącu lub po 6 tygodniach, trzeba sól z wierzchu zdjąć a masło przełożyć do świeżego, solą wysypanego naczynia i to co 4 lub 6 tygodni powtarzać, a można masło utrzymać kilka miesięcy; ja sama utrzymałam masło w ten sposób od początku września do Wielkiej nocy.

Co prawda, to masło robione ze świeżej słodkiej śmietanki, jest bardzo dobre, ale tylko na prędkie użycie, nabiera ono bowiem po kilku dniach kwaskowatego, niemiłego smaku i dlatego do zimowego przechowania nie nadaje się zupełnie. Najlepsze i najtrwalsze do zimowego przechowania, jest masło robione ze śmietany tylko lekko nadkwaszonej.

Świeżo zrobioną śmietankę postawić w miejscu czystym i przewiewnym, w umiarkowanej cieplecie na 24 godzin, trzeba ją jednak przez ten czas kilka razy dobrze i od samego spodu przemieszać, aby się nie utworzył korzuch, który to masłu nadaje niemiłą gorycz.

Dobre masło powinno mieć przyjemny smak i woń, co zależy od czystości naczyń mlecznych; kolor od rodzaju paszy i twardość, która zawisła od ciepłoty w jakiej robiono masło. Aby masło było twarde, powinno być robione w ciepłocie 9—12 stopni Reaumura. Masło robione w temperaturze poniżej 8 lub powyżej 13 stopni, jest nietylko sosowate, bez koloru i woni, ale jest go też znacznie mniej, aniżeli by było masła twardego z tej samej ilości śmietany.

Wrzesień i październik, stanowią prawie tak jak drugą wiosnę w gospodarstwie mlecznem. W tych miesiącach są liście kapusty, buraków, i inne różne ogrodowizny, jak drobna lub nadpsuta marchew, brukiew, buraki i t. p., których przechowanie w kopcach i piwnicach nie opłaca się, a które w umiarkowanych dawkach pomieszczone z siewką, poprawiają mleko. A że mleko w tych miesiącach jest tłuszczej niż w miesiącach letnich, a powietrze znacznie chłodniejsze, więc też masło we wrześniu i październiku jest najodpowiedniejsze do przechowania.

Przechowanie jaj na zimę.

We wrześniu można już przechowywać jaja na zimę. Nasze gospoście przechowują jaja w drobno-rzniętej sieczce, w piasku, w trocinach drzewnych, w nasieniu marchwi i lnu, w popiele, w kurzych pierzach, w suchym piasku i mehu, w wodzie wapiennej i w gęstem wapnie (białka jaj trzymanych w wodzie wapiennej lub w wapnie, nie dają się potem ubić na dobrą pianę) pomimo, że przechowanie jaj w wapnie jest dobre.

Rozrabia się wapno z wodą, tak jak rzadkie ciasto, nalewa trochę do faski lub starego garnka i układa jaja cieńszym końcem na dół, tak, aby jedno drugiego nie dotykało, za każdą warstwą jaj daje się warstwę wapna, tak, aby na wierzchu było wapno. Jeżeli-by się wapno zeschło i trudno było jaja wydobyć, to trzeba nalać trochę wody aby wapno rozmokło, a wtedy się jaja z łatwością wyjmie. Można także z dobrym skutkiem przechować jaja w soli, trzeba tylko uważać na to, aby były poukładane wąskim końcem na dół, aby jedno drugiego nie dotykało i aby były umieszczone w miejscu chłodnym i przewiewnym.

Bardzo ważną rzeczą też jest, aby jaja nie były zapłodnione przez koguta, gdyż jaja zapłodnione podlegają prędzej zepsuciu.

Ogórki kwaszone na zimę.

Przeznaczone do zimowego kwaszenia ogór-

ki, czysto obmyć i każdy ściereczką dobrze poobcierać. Wziąć beczkę na 10 garney, dno wyścielić grubo liśćmi dębowymi, winogronowymi, wiśniowymi, koprem i nasrugać korzeni chrzanu, na tej ściółce układać ogórki jeden obok drugiego. Warstwę tak ułożonych ogórków nakrywa się znowu liśćmi, koprem, chrzanem, kto lubi, może dodać kilka ząbków czosnku, co nadaje ogórkom bardzo dobry smak i tak układać, aż beczka będzie pełna. Ostatnią warstwę muszą stanowić liście i koper.

Napełnioną już beczkę zabić dnem a otworem szpuntowym nalać wody tyle, aby beczka była pełna. Woda może być albo całkiem zimna, jeżeli można rzeczna, albo też gorąca.

Nim się wodę do beczki wleje, należy w niej rozpuścić litr soli i łyżkę saletry. Podług wielkości beczki, trzeba sól i saletrę obliczyć. Jeżeli się zalewa na zimno, to można zaraz po nalaniu wody beczkę zaszpuntować i zalać lakiem; można beczkę spuścić do studni lub stawu, albo ustawić w piwnicy na drewnianych podstawach. Ustawioną już beczkę należy częściej obracać, aby się sól nie osiadła i aby wszystkie ogórki objęte były sokiem.

Jeżeli się ma ogórki zalewać wodą gorącą, to lepiej jest saletrę wsypać do beczki, a sól w wodzie przegotować, kipiącą wodę wlać otworem szpuntowym zapomocą lejka i nie nakrywać szpunte, tylko zostawić otwarte; można tylko otwór nakryć ściereczką, aby tam co niepotrzebnego nie wpadło. Następnego dnia kiedy już woda zupełnie ochłodziła, beczkę zaszpuntować, zalać lakiem, przewrócić, aby woda wszędzie między ogórki weszła, znieść do piwnicy ostrożnie, ustawić na grubych drewnianych podstawach i częściej beczkę obracać. Przy braniu ogórków, uważać na to, aby nie wybierać dołów, tylko za każdą razą ładnie wyrównać, nie zapomnieć nakryć koprem i szpunt silnie zabić, a można ogórki mieć do nowych, gdyż tylko przeważnie niedbałe branie i niezabijanie szpuntów jest powodem, że ogórki się psują. Należy także do kwaszenia wybierać ogórki tylko całkiem zdrowe.

Rydze solone.

Te miesiące najwięcej obfitują w rydze; to też w okolicy, gdzie są lasy i rydze się udają, powinna każda gospościa postarać się o spory zapas tych przysmaków.

Świeżo uzbierane rydze, nie płuczac ich wcale, powycierać dobrze suchą czystą szmatką, obciąć korzoki i układać w drewnianą faskę lub w jakie kamienne naczynie, wierzchem do

góry; każdą warstwę rydzów posypać silnie solą, nakryć denkiem i przyłożyć kamieniem, a gdy w kilka dni rydze się ułożą i opadną, można dołożyć świeżych, aby naczynie było pełne. Na naczynie mniej więcej 3 garncowe, wystarcza $\frac{1}{4}$ kilo soli. Przed użyciem, trzeba rydze w czystej wodzie obmyć, gdyż nie myte, byłyby słone i maziaste.

Rydze w ten sam sposób solone, tylko z dodaniem do soli drobno krajanej cebuli i pieprzu, są daleko smaczniejsze, ale nie są tak czerwone jak tamte, tylko więcej ciemne.

Grzyby suszone.

Nieraz jeszcze i październik dostarczy grzybów, które można suszyć na zimowy użytek. A że w październiku już bywają lekkie przymrozki, więc skórka grzybków odstaje, tę skórkę ładnie obrać a grzybki drobno pokrajać, rozłożyć na lasach lub blachach i wsunąć w piec po chlebie; to suszenie powtarza się kilka razy. Gdy już grzybki są całkiem suche, zsytać do woreczka i powiesić w przewiewnem, ale suchem miejscu, lub też utłuc na proszek i przechować w puszcze blaszanej lub w czystym garnuszku, owiązanym grubym papierem lub pęcherzem.

Proszku takiego można używać tak jak grzybków do zupy i barszczu.

Przechowywanie owoców.

Nikt nie zaprzeczy, że najlepiej smakują nam owoce wtedy, gdy wszelkie jagody i inne pokarmy świeże minęły. Staraniem zatem każdej gospodyni powinno być, aby owoce jak najdłużej przechować. Do przechowywania należy wybierać owoce duże, zdrowe i całkiem wykształcone, nie pokryte plamami ani nie popękane i tylko takie, które były wystawione na silne działanie promieni słonecznych, bo w takich tylko pierwiastki pożywne i cukier dające, dostatecznie się wyrobiły.

U nas zazwyczaj, owoce otrząsają, lub w najlepszym razie obłamują tykami wraz z częścią gałązki. Przeważnie dzierzawcy obchodzą się prosto po barbarzyńsku, narażając owoce na odtłuczenie albo co gorsza, zadają nieraz drzewom ciężkie rany przez odłamywanie czasem nawet całych gałęzi. Kto sad wydzierżawia, powinien bardzo pilnować, aby owoce był należyście obierany, ale nie otrząsany, ani też strącany.

Są wprawdzie niektóre odmiany gruszek i jabłek, które otrząsienie zniosą, są to jednak te, które tylko na kompoty używane być mogą.

Tak zaś do jedzenia, są niemożliwe. Wszystkim innym gatunkom, tak gruszek jak i jabłek, wszelkie uderzenie szkodzi. Wystarczy gruszkę lub jabłko palcem nacisnąć, aby w miejscu naciśnięcia po niejakiem czasie wystąpiła plama, która wskazuje, że tam właśnie, a nie gdzie indziej rozpoczęło się gnicie.

Owoce, który chcemy przechować do wiosny należy obrywać rękami i to bardzo ostrożnie. Ujmuje się owoc palcami i obraca na ogonku a jeżeli jest dojrzały, odczepi się sam od saskwy na której jest osadzony. Owoce zimowy, ujawszy palcami, podnosimy trochę do góry, a wtedy ogonek w stawie pęka. Zachowanie całego ogonka ważną jest rzeczą, gdyż jabłka ze złamanym ogonkiem prędko więdną, marszczą się i nie dojrzewają. Gruszki i jabłka letnie zrywać należy na tydzień lub dwa tygodnie przed zupełną ich dojrzałością, gdyż zerwane w stanie dojrzałym wcale się przechować nie dają. Wiśnie i czereśnie po zerwaniu już nie dojrzewają, trzeba je więc brać całkiem dojrzałe z drzewa.

Gruszki i jabłka zimowe zbierać należy przed nastaniem przymrozków, w końcu października lub też pierwszych dniach listopada. Zależy to też dużo od tego, jakie było lato. Jeżeli lato było suche i ciepłe, to owoce prędzej są rozwinięte i lepiej się dadzą przechować. Trzymankę zaś na drzewach owoców dojrzałego, nietylko nie poprawia ale nadto psuje smak i sprawia, że owoce nie daje się tak dobrze przechować. Główną regułą przy zbieraniu owoców, jest zbieranie ich we dnie pogodne i nie podczas rosy, ale w samo południe, tak między godziną 11 a 4 popołudniu.

Nie mając odpowiedniej do tego celu owo-carni, można owoce przechowywać w suchej i zupełnie ciemnej piwnicy. Przynajmniej na 14 dni przed ułożeniem owoców należy piwnicę dobrze siarką wykadzić, ściany wybielić, pułki naokoło ścian poprzybijać w takiej wysokości jedna nad drugą, aby przegląd owoców nie był utrudniony. Obrane z drzewa owoce obetrzeć flanelą lub kawałkiem miękkiego barchanu i przenieść do jakiej szopy, stodoły lub niezamieszkalego przewiewnej stancyi, rozłożyć na podłodze lub boisku, i tu zostawić parę dni. Delikatniejsze owoce należy przenosić w płytkich koszach wyłożonych sianem i to tylko po jednej warstwie i tak aby się nie ugniatały. Za parę dni, owoce utracą nadmierną wilgoć i można je przenieść do przygotowanej na ten cel piwnicy. Przed samem wniesieniem owoców do piwnicy należy piwnicę dobrze przewietrzyć i oczyścić, potem okienka poza-

mykać i szczerlnie zasłonić, tak, aby nawet promień światła nie padał. Drzwi do takiej piwnicy powinny być podwójne, aby wchodząc, można było pierwsze drzwi zamknąć nim się drugie otworzy, tak, aby i drzwiami światło padać nie mogło.

A gdy już piwnica oczyszczona a okna pozatykane, wnosi się owoce i układa jak zwykle na dobrze suchym mechu, wacie lub skrawkach papieru, układać należy ogonkami do wierzchu uważając, aby jedno drugiego nie dotykało. Takiej piwnicy w której są owoce, nie należy częściej jak raz na tydzień przeglądać, a to dlatego, aby utrzymać w niej ile możliwości tę samą ciepłotę. Wchodzić należy z zapaloną świecą, aby się przekonać czy oddechanie jest możebne; gdyby świeca gasła, należy piwnicę przewietrzyć otworzywszy drzwi na pewien czas. Przy przeglądaniu owoców, należy starannie oddalać wszystkie choćby tylko cokolwiek nadpsute i już całkiem dojrzałe owoce, starając się o to, aby pozostałe owoce ile możliwości jak najmniej dotykać palcami. Wszelką pleśń gdziekolwiek by się ona pokazała, na ścianach, czy na pułkach, natychmiast usunąć. Wielką trudność w przechowywaniu owoców stanowi utrzymanie umiarkowanej wilgoci w powietrzu w owocarni. Owoce wytwarzają wielką ilość wilgoci, co bardzo przyspiesza gnicie i pleśnienie owoców. Dobrym a nie drogim środkiem na usunięcie wilgoci, jest chlorek wapienny. Nasypać trochę na deseczkę pochyłą obitą po bokach deseczkami, pod niższą stroną postawić miseczkę w którą-by spływała ciecz, powstająca z rozpuszczenia chlorku. Jeżeli-by jabłka nie gniły, ale się zato skórka na nich marszczyła, to znaczy, że jest w piwnicy za suche powietrze i trzeba chlorek na pewien czas usunąć.

Przechowanie kapusty w główkach.

Kapustę można przechować w piwnicy w piasku; jeżeli się ją ma z korzeniami, to się ją tak w piasku sadi, jak gdyby rosła i trzeba też czasami trochę podlewać, a szczególnie kalafiori i kapustę brukselską. Jeżeli zaś kapusta jest odcięta, jak to zwykle do miasta na targi przywożą, to najlepiej jest, gdy się ją na suchej słomie w piwnicy przewietrznej lub też na strychu tak poukłada, aby jedna drugiej nie dotykała. W piwnicy nakrywać słomą nie potrzeba, jeżeli ale kto ma kapustę na strychu, to jak tylko zaczyna się silniejsze mrozy, powinien kapustę grubo słomą nakryć. Kto ma strych i piwnicę czem innym

napełnione, może z dobrym skutkiem przechować kapustę w ogrodzie. Kapusta tak zwykła jak i włoska pozostaje w ziemi, aż do nastąpienia mrozów. Niewielki przymrozek nie jej nie szkodzi, gdyż zaraz przychodzi do siebie, w takim stanie jednak chować jej nie można, bo by zgniła.

W końcu października wyrywa się kapustę z korzeniami, oczyszcza z liści żółtych i nadpsutych, zostawiając wszystkie liście wielkie i zdrowe, dla ochronienia samej główki od deszczu i mrozu. Tę robotę należy odbywać zawsze w dnie jasne i pogodne. Tak oczyszczone główki układa się na miejscu suchym, zabezpieczonem od zalewu i zaskórnej wody, główkami do ziemi, a korzeniami w górę, rzędami główka przy główce, obwijając wielkimi liśćmi całą główkę. Tak ułożoną kapustę pokrywa się lekko ziemią, liśćmi lub ściółką, o tyle, aby zabezpieczyć główki, korzenie mogą sterczeć nad ziemią. W ten sposób przechowywanej kapuscie nie szkodzi ani wilgoć ani zimno. Wyjmowanie kapusty na potrzeby domowe jest też ułatwione, gdyż korzenie sterczą do góry. Kapusta włoska i biała w ten sposób przechowana, nabiera świetnej białości i delikatności. Jeżeli nastąpią silne mrozy lub długotrwałe deszcze, należy koniecznie przykryć matami, liśćmi, ściółką lub słomą, aby wilgoci wewnątrz nie dopuścić. Ktoby chciał większą ilość kapusty w ten sposób przechować, dobrze zrobi, jeżeli sobie zbuduje rodzaj dachu przenośnego i nim przechowywaną kapustę nakryje.

Ogród należy przed zimą obrobić, nawieźć gnoju gdzie potrzeba, skopać i zorać, a na wiosnę tylko motyką spulchnić i można siać; gdyż w jesieni grunt ciężki i piaszczysty przejemuje się łatwiej wilgocią. W październiku można też na nowo skopanych grządkach siać pietruszkę, marchew, cebulę, czosnek, szpinak, lewandę i t. p.

W sadach liści nie zgrabywać tylko zostawić na pruchnię, na nawóz dla drzew, wokoło pozakładać lepkie obręcze, aby się owady łapały.

Mieszkania oczyścić z kurzu i pajęczyn, drzwi i okna na zimę zaopatrzyć.

Kit do zalepiania szpar okien i pieców.

Wapno niegaszone i mąkę żytnią urobić z wodą i tym kitem szpary smarować.

Popiół drewniany, glinę i trochę soli ugnieść z wodą na gęstą masę i tą masą zalepiać szpary, kiedy piec zimny.

Czyszczenie i nalewanie lamp.

W październiku już dłuższe wieczory i trzeba pomyśleć znowu o lampach. Lampy należy czyścić i nalewać rano, aby uniknąć tego, co się u nas często zdarza, że nalewa się lampy już po zapaleniu takowej, lub też w najlepszym razie przy świetle świecy. Tak jedno jak i drugie jest nie tylko nieprzyjemnem ale nawet bardzo niebezpiecznem, a przytem lampy na prędcie dolewane i nie czyszczone, nigdy dobrze palić się nie będą, wiemy przecież, że lampy naftowe źle oczyszczone, wydają płomień nierówny i temsamem kopcą. Wprowadzony porządek jest tu obowiązkiem nie tylko dla dobrego światła, ale i dla zdrowia; chcąc aby płomień był zawsze równy, trzeba najpierw lampę dobrze oczyścić. Najlepiej jest knotów nie obcinać, tylko zdjawszy wierzchnią część palnika, wyśrubować knot powyżej palnika, oczyścić go palcami, ściągnąć potem tak, aby się zrównał z palnikiem, oczyścić znowu palcami lub ściereczką, lub zrównać go używaną zapałką; wyśrubować poraz drugi i znowu oczyścić i znowu wśrubować i tak dotąd, dopóki knot nie będzie dostatecznie oczyszczony i zupełnie równy, bo najmniejszy nawet pozostały pyłek powoduje w tem miejscu większy płomień, a tem samem i kopeć. Gdy już knot jest należycie oczyszczony, wśrubować go napowrót a palnik obetrzeć ściereczką i założyć; lampkę po każdym nalanu należy obetrzeć ściereką, tak, aby była całkiem sucha, bo nawet przy najostrożniejszym nalewaniu może się trochę nafty rozlać po powierzchni lampy, co również niezbyt przyjemną woń sprawia w mieszkaniu. Dobrze jest też knot nowo kupiony włożyć na chwilę w mocny ocet, aby dobrze naciągnął, z tego octu trzeba go lekko wycisnąć i dobrze wysuszyć, a gdy już dobrze suchy, dopiero założyć do lampy.

Nie należy też nigdy lampy zaraz po zapaleniu całkiem rozpalać, tylko zapaliwszy wykręcić knot bardzo mało, a dopiero po kilku sekundach a nawet po dwóch lub trzech minutach, kiedy się już lampka rozświeciła, cokolwiek knot wyśrubować, a będzie się cały wieczór dobrze lampka paliła.

Kit do przytwierdzania maszynek do zbiorników u lamp.

Przez nieostrożne obchodzenie się z lampami zdarza się często, że maszynki rozluźniają się od zbiorników, ażeby nie chodzić z tem zaraz do blacharza, można to zrobić w ten sposób, że rozgrzewa się na blaszanej

łyżce kawałek alunu, a płynem jaki powstanie przez rozgrzanie oblewa się brzeg zbiornika, zakłada prędko maszynkę i silnie przyciska.

Można też utłuczony alun i trochę gipsu zarobić z wodą i tem obsmarować brzeg zbiornika, założyć na to maszynkę i przycisnąć, ale trzeba poczekać aż uschnie.

Pierzenie kur i jak powinien być zabezpieczony kurnik na zimę.

Najczęściej słyszymy: „teraz zimno, to kury się nie niosą“. A przecież kury przestają się nieść już w listopadzie a w połowie grudnia już znowu się nieść zaczynają, a przecież w tym czasie jeszcze mrozów niema, bo najsilniejsze mrozy i największe śniegi bywają w styczniu i w lutym, kiedy to kury jak tylko mają ciepły kurnik, to już na dobre znowu się niosą. Przyczyną przestania się nieść u drobiu a w szczególności u kur, jest pierzenie się, tj. że gubią stare pierze a porastają natomiast w nowe, i zazwyczaj tak długo się nie niosą, jak długo nowe pierze zupełnie nie wyrośnie. Do tworzenia nowego pierza potrzeba wiele soków pożywnych, nie pozostaje więc nic na tworzenie nowych jaj. W tej dość niebezpiecznej dla drobiu porze, a która się rok rocznie powtarza, trzeba bardzo troskliwie drobiu doglądać. Trzeba strzedz drobiu od wszelkiej nagłej zmiany powietrza, od zimna i wilgoci, w tym czasie trzeba drób szczególnie ciepło trzymać, bardzo rano nie wypuszczać, lepiej dopiero około południa i nie trzymać długo popołudniu, ale jak tylko zacznie się oziębzać, zapędzić drób do kurnika, który powinien być dobrze na zimę zaopatrzony.

Jeżeli ściany kurnika są cienkie, należy założyć matę, na podłogę co parę tygodni nakładać świeży nawóz koński, w dużym kurniku można na wysokość jednej stopy nałożyć nawozu końskiego, na nawóz nasypać na pół stopy grubą warstwę suchej ziemi, a lepiej jeszcze, jeżeli można nakryć nawóz deskami, na deski trochę suchej ziemi, a dopiero na ziemię świeżą krótko ciętą słomę na podściółkę. Tak wyposażony kurnik pewnie będzie ciepły a kury pomimo pierzenia, nie przestaną się całkiem nieść i chociażby jedno jajo na tydzień, to już każda zniesie. Zazwyczaj, że kury które się najwięcej wypierzyły, najprędzej zaczynają się znowu nieść. W czasie pierzenia, należy też kurom dawać trochę lepszą karmę, trochę pośladu pszenicy, hreczkę, siemię, proso i t. p. Nie należy jednak zbyt obficie karmić, bo zwykle te kury, które w czasie pierzenia

były zbyt karmione, znoszą potem mniej jaj, później się nieść zaczynają i często znoszą jaja bez skorupki.

L. H.



ROZMAITOŚCI.

Zadrzewienie dróg. Zamysł Wydziału krajowego, tyczący się zadrzewienia dróg, a podany przez „Czas“, zwrócił uwagę prasy warszawskiej „Kurier Warsz.“ pomieszcza taki artykuł: „Zdarzyło się — tak opowiada jeden z naszych czytelników — że zmuszony byłem w tych dniach przejechać około 250 wiorst powozem lub wasagiem po szosach i drogach bocznych Królestwa. Kurz, skwar, że rozpacz bierze. Słońce pali niemilosiernie, a przed nami długi, kręty pas drogi bez cienia, bez chłodu. I mimowoli przypominają się: zadrzewione, chłodne drogi Niemiec lub Holandyi. Ileż to razy jednak w gazetach poruszana już była sprawa zadrzewiania dróg! A pomimo to, jak przed laty, tak dziś, ogromna większość dróg naszych pozbawiona wszelkiego cienia, wszelkiej ozdoby, ciągnie się weżem szarym wśród pól i łąk, na których przynajmniej „zrzadka ciche grusze siedzą“. Co prawda, w okolicach, pozbawionych zupełnie lasów, ludność dba o zadrzewienie dróg, ale nie dla zapewnienia im ozdoby lub cienia, lecz ze względów oszczędności. Sądzi tylko prędko rosnące wierzby i w lat parę obcina gałęzie dla pozyskania opalu, skutkiem czego drzewa okaleczone wyglądają, jak sterczące z ziemi ręce z zaciśniętymi pięściami. Gdzieindziej znów próby sadzenia drzewek przydrożnych, rozbijają się stale o brak uświadomienia ludności. Młode sadzonki padają ofiarą chłopaków, łamiących je dla pozyskania biczysk, lasek, lub ot poprostu dla zabawy. Choć więc tyle o tej sprawie pisano, zwracamy na nią jeszcze raz uwagę. A właśnie galicyjski Wydział krajowy wypracował obszerny projekt obowiązkowego sadzenia i ochrony drzew wzdłuż dróg krajowych, powiatowych i publicznych dojazdów kolejowych w Galicyi. Wartoby może, aby pisma zwróciły na ten projekt uwagę“.

Wielka katastrofa kolejowa. O strasznej katastrofie kolei Missouri-Pacific w Ameryce, donoszą dzienniki szczegóły następujące: W chwili, gdy pociąg wjeżdżał wieczorem na most na rzece Arkanzas, deszcz lał tak rzęsy, że maszynista nic nie widział przed sobą. Lokomotywa minęła most szczęśliwie, pod ciężarem je-

dnak wagonów most runął, pociągając za sobą wagony: pocztowy, restauracyjny i dla palących. Dwa wagony sypialne pozostały na ocalonej części mostu. Większość podróżnych, znajdujących się w pociągu, zajmowała miejsca w chwili katastrofy w wagonie restauracyjnym i dla palących. Prawie wszyscy zginęli. Z osób, znajdujących się w wagonach sypialnych, wiele odniosło ciężkie rany wskutek wstrząśnienia. Prąd wody pod mostem był tak silny, że, gdy przybył pociąg ratunkowy i zaczęto poszukiwanie zwłok, 50 trupów znaleziono w błotach, odległych o półtora kilometra od miejsca katastrofy, w dół rzeki. Ogółem z zatopionych wagonów uratowało się 25 osób. Kasę ogniotrwałą, znajdującą się w wagonie pocztowym, rozbili i wypróżnili niewiadomi zлочынцы. Około 2.000 osób pracowało na miejscu katastrofy, poszukując zwłok i do- bywając z rzeki bagaże podróżnych. Pociąg jechał z St. Louis do San Francisco i znany był pod nazwą „kuryera wystawowego“.

Katastrofa okrętowa. Parowiec angielski „Hoangho“ rozbil się w zatoce Chimmo, w pobliżu Amoy, uderzywszy o skałę. Katastrofa nastąpiła niezwłocznie. Z 400 podróżnych, płynących na statku, ocaliło się tylko 52.

Katastrofy żywiołowe. Miejscowość San Juan na Luzonie, największej z wysp Filipińskich, została zniszczona skutkiem oberwania się chmury. Deszcz lał strumieniami przez 27 godzin, a woda stała na wysokości 27 cali. Dwieście osób zginęło. Straty, według przybliżonego obliczenia, wynoszą 8 milionów fr. Długotrwałe, nieprzerwane deszcze spowodowały wylew kanałów w Valparaiso, w Chili w Ameryce. Miasto stało pod wodą, kilkanaście osób utonęło. W zatoce pano- wała przez tydzień burza, powstrzymująca wszelką żeglugę. Szkody, zrządzone przez ulewę i burze, oszacowano w przybliżeniu na dwa miliony.

Uroczystość narodowa w górach. W dniu 4 września b. roku obchodzili na Podhalu w Chocholowie, uroczystość ku uczczeniu pamięci naszych dzielnych przodków, którzy w roku 1846, kiedy to chłop „cesarski“ mordował swych rodaków i za srebrniki judaszowskie dostawiał ich do „becyrku“, nie tylko nie splamili się krwią bratnią, lecz pod wodzą księdza Kmietowicza i organisty chochołowskiego Andrusikiewicza, stawili zbrojny opór tłumicielom ruchu powstańczego w Galicyi. Hejnał z wieży kościelnej, na na której powiewała flaga o barwach narodowych, dał znać całej okolicy o zbliżającej się uroczystości. Ks. dziekan z Ludźmierza, przy licznych współudziale księży z całego dekanatu, odprawił uroczyste nabo- żeństwo za dusze bohaterów, w którym wziął udział liczny tłum miejscowych górali i okoliczna inteligencja. Chór młodzieży akademickiej i gimnazjalnej, bawia- czej właśnie w Chocholowie, odśpiewał pieśni narodowe przy towarzyszeniu miejscowej kapeli, dyrygowanej

przez ks. katechetę Władysława Godawę. Po nabożeństwie wygłosił z ambony ks. Skrudziński z Białki mowę, w której porównał zachowanie się górali chochołowskich z ludem w powiatach: tarnowskim, bocheńskim i jasielskim, gdzie rzeź szerzyła się najwięcej, a w pięknych i barwnych wyrazach skreślił zasługi i żywoty ks. Kmietowicza, Głowackiego i Janiczaka, oraz organisty Andrusikiewicza, jako bohaterów, którzy potrafiли pociągnąć za sobą górali chochołowskich do zbrojnego ruchu narodowego.

Wreszcie po skończonym nabożeństwie, przy sprzyjającej pięknej pogodzie, udali się wszyscy uczestnicy uroczystości na przyozdobionych wozach przez bramę tryumfalną, urządzoną staraniem młodzieży akademickiej i gimnazjalnej do uroczej Doliny chochołowskiej w Tatrach, gdzie się odbyło poświęcenie pamiątkowego kamienia.

Choć w kilku słowach warto wspomnieć o tryumfalnej bramie, na której, prócz zieleni i powiewających chorągwi, widniał wielkich rozmiarów obraz, umyślnie na ten cel sporządzony. Przedstawiał on kościół chochołowski, a nad nim, wśród szczytów górskich na ogromnej skale stoi potężny góral, trzymający na ciupadze w ręku wstęgę z napisem: „Jeszcze Polska nie zginęła“; drugi koniec wstęgi trzyma w szponach wzlatujący orzeł.

Przy poświęceniu wygłosili mowy patriotyczne ks. dziekan, i proboszcz chochołowski ks. Kazimierz Rzeszdoko, którzy w pięknych słowach podnieśli zasługi bohaterskich górali chochołowskich.

Wreszcie po dokonanej uroczystości i po odśpiewaniu i odegraniu pieśni narodowych, z podniesionym duchem i nadzieją lepszej przyszłości, porozjeżdżali się uczestnicy tej tak niezwykle u nas na Podhalu uroczystości.

Ze Śląska. W Orłowie na Śląsku austriackim, zbudowanym był kościół jeszcze w roku 1269, którego fundatorami byli Benedyktyni z Tyńca, pod Krakowem i w nim się osiedlili. Z biegiem czasu, klasztor ten wzięli w posiadanie księża czescy, za kościołem poszła i szkoła, która dawniej była czysto polską a stała się po połowie czeską.

Parafianie Polacy, którzy, kochając swój język ojczysty, pozbawieni byli słowa Bożego w polskim języku, bo w kościele nabożeństwa po czesku się odprawiały. Wnieśli więc podanie do sejmu, prosząc o polskich księży, którzyby i w kościele nabożeństwa po polsku odprawiali, i dzieciom w szkole w ojczystym języku religię wykładali. Sejm przychylił się do ich słusznej prośby i posłał im dwóch księży, którzy we wsi Łazach zamieszkali, jako w środoku parafii. A że nie mają ich gdzie umieścić, więc chcą dla nich wybudować kapelanię, a potem i jaki mały kościółek. Nie mając na to odpowiednich funduszy, proszą ludzi dobrej woli, o przyczynienie się do tego pię-

knego czynu, żeby choć drobnymi datkami zechcieli przyjsię im z pomocą, a uratują w ten sposób i kilka tysięcy narodu polskiego od czechizmu. Łaskawe datki prosimy nadsyłać do polskiego towarzystwa zaliczkowego w Cieszynie.

O nieszczęście nie trudno. Jak wielką wadą jest niedbalstwo u ludzi, udowadnia następujący wypadek. Pewien gospodarz, przyciśnięty długami, zaniedbywał wszystkich naprawek, które przy każdym gospodarstwie tak się często zdarzają, bo nie miał nadziei, że się długo utrzyma przy swojej ojcowiznie. Nie chciało mu się naprawić wrót od stodoły i tylko na jednej zawiasie wisiały.

Gospodarz przyszedł do stodoły, otworzył wrota, podparł je grabiami żeby się nie przewróciły, a sam zabrał się do młócenia żyta, nie uważając, że za nim przyszedł czteroletni synek. Dziecko siadło na progu i zaczęło się bawić, nareszcie wzięło za grabie i wydarło je z pod wrót, które całym ciężarem spadły na dziecko i na miejscu go zabiły. Jakaż to okropna kara dla ojca za jego niedbalstwo.

Do czego doprowadza brak oświaty. W pewnej miejscowości w Królestwie Polskim, zdarzył się oburzający wypadek. Koń pasący się na łące, wszedł w zboże drugiemu gospodarzowi. Widząc to właściciel gruntu, nie wypędził konia, ani go też nie zajął, jak to zwykle bywa, ale złapał konia i uciął mu język. Trudne to do uwierzenia, żeby człowiek, obdarzony rozumem, mógł taką mękę i kalectwo zadać biednemu koniowi; na to trzeba być łotrem, ale nie człowiekiem.

Katastrofy żywiołowe w Australii. W całej Australii panowały tak ulewne deszcze, że olbrzymie przestrzenie ziemi były zalane wodą. Orkan zniszczył domy, powyrywał drzewa z korzeniami, pozatapiał okręty. Kilka parowców zginęło bez śladu.

Oberwanie się chmury. W Meranu, w Alpach, donoszą, że było tam oberwanie się chmury. Ulewa trwała przeszło godzinę, większa część ulic i placów została zalana. Z Küchelbergu płynący strumień wezwał tak gwałtownie, że w przeciagu kilku minut rozlała się woda na ulice, musiano pospiesznie zamykać sklepy i bramy domów, żeby się woda wewnątrz nie dostała.

Katastrofa kolejowa. W czasie przejazdu pociągu pociąg pociąg kolei Missouri-Ocean Spokojny, w Ameryce, runął most na rzece Edenu. Parowóz i trzy wagony spadły. Skutkiem burzy utworzył się rwący strumień w zwykłe suchem korycie rzeki i podmył filar mostu. Wagon osobowy uniosła woda o milę, wagonu bagażowego i dla palących nie odszukano. Wagon pocztowy i tender znaleziono w pobliżu mostu. Pocztę zrabowano. Zwłoki podróżnych z wagonu osobowego do połowy mulem napełnionego, wyniesiono na brzeg, wydobyto 63 osoby.

Pożarci przez ludożerców. Podróżni parowca Philpewille opowiadają, że posterunek składający się

z 15 ludzi, został napadnięty w pobliżu stacyi Ndobo w Afryce, przez ludożerców szczepu Bonojas. Czterech ludzi, między innymi szefa stacyi zamordowali, ciała ich pokrajali na kawałki i zjedli. Jeden tylko żołnierz potrafił im uciec i przyniósł tę nowinę do Ndobo. Wysłano natychmiast 200 żołnierzy, celem poskromienia buntowników.

Katastrofa w Łodzi. Wielki pożar wybuchł w zabudowaniach przedsiębiorstwa budowlanego Otona Gehliga, przy ul. Przejazd. Na ratunek przybyły wszystkie oddziały straży ochotniczej, oraz straże fabryczne. Mimo wysiłków, ogień ogarniał olbrzymie składy drzewa. Chcąc dostać się do wnętrza zabudowań, brandmistrz Hubert polecił wybić drzwi w murze. Otwór wybito i wszedł do wnętrza domu p. Hubert, a za nim kilkunastu strażaków. W tej chwili mur runął, zasypując tych, co weszli do wnętrza. Nim jeszcze tumany kurzu się rozwiały, już ludzie rzucili się na ratunek nieszczęśliwym. Wkrótce też wydobyto zwłoki jednego po drugim, a wszystkie strasznie zmiażdżone; tych, którzy jeszcze byli przy życiu przybyły X. Nowakowski dysponował na śmierć i odmawiał modlitwy.

Co chwila dawały się słyszeć rozpaczliwe jęki matki lub żony, gdy w wydobytych ofiarach katastrofy, rozpoznawały swych mężów lub synów.

Oberwanie chmury. W miejscowości Moline we Francyi nastąpiło oberwanie chmury. W nurtach gwałtownie spływającej wody, znalazło śmierć kilka osób. Znaczną liczbę budynków podmyły fale. W okolicy Bozen w Tyrolu, również szalała straszna burza.

Sorento. W tych czasach szalał tu straszny cyklon i wyrządził ogromne szkody. Jeden dom się zawalił, przyczem trzy osoby utraciło życie, a wiele jest rannych. Około 30 domom grozi ruiny.

Trzęsienie ziemi nawiedziło Wellington w Nowej Zelandyi. Wstrząśnienie było bardzo silne, wielka ilość domów została uszkodzoną.

Wezuwiusz. Z Neapolu donoszą, że wulkan Wezuwiusz w ostatnich dniach jest bardzo czynny. Ściany krateru w wielu miejscach grożą wpadnięciem do wnętrza, z którego wylatuje deszcz popiołu. W Atrio del Cawallo, tworzą się małe wulkany, które wybuchając, wyrzucają lawę na 150 metr. wysoko. Wielki otwór wybuchowy zarysował się silnie i jest prawdopodobnem, że zostanie zupełnie rozerwanym.

Zapowiedź wczesnej zimy. Ze Stanisławowa piszą: W nocy z 5 na 6 września zapadła na nadzwyczaj silnie oświetloną elektrycznie stacją kolejową, chmura różnorodnych przelotnych ptaków. Były to kurki wodne, krasnowronki, gaiki, przeważnie jednak pliszki i przepiórki. Gromadki te lecąc, zwabione zostały z daleka widzianą luną światłą elektrycznego, a przeleatując ponad stacją, znalazły przeszkodę w gęstej siatce drutów elektrycznych, zapadły wśród ulewnej

deszczu na stację. Ptaszki były po większej części pokaleczone, a niektóre zabite. Około 150 ptaszek wylapała służba kolejowa. Zważywszy na rozmaitość ptaków, sądzić należy, że nie były to jesienne lokalne przeloty, ale odloty, które zwykle dopiero około 15 października bywają. Z tych odlotów wnosić można o bardzo wczesnej i ostrej zimie.

Manifest cesarski. Z powodu urodzin następcy tronu w Rosyi, car Mikołaj uwolnił wielu z więzienników, odsiadujących karę. Z samego Lublina wypuszczono 122 więźniów. Ale o więźniach politycznych, którzy w kopalniach syberyjskich przykuci do tacek jęczą, o tych manifest nie wspomina.

Pół tuzina bliźniaków. Zanim bociany odleciały, jeden z nich sprawił niezwykłą niespodziankę pewnemu młodemu małżeństwu we wsi Baranowie w Poznaniem. Oczekiwano tam przyjścia na świat pierworodnego dziecka; aż tu pocziwe bocianisko, miast jednego, przyniósł aż 6 chłopców. Wszyscy są żywi i zdrowi. Ważą po półtora do dwóch funtów. Matka ma się też nieźle. Szczęśliwy ojciec cieszy się bardzo. Sąsiedzi składają życzenia. Nawet do cesarza niemieckiego wysłali telegram z tą nowiną.

W sprawie wychodźstwa. Ministerstwo spraw wewnętrznych rozesłało okólnik do wszystkich władz politycznych, z następującem uwiadomieniem: Według wieści, jakie ministerstwo spraw wewnętrznych otrzymało, amerykańskie prawa są obecnie dla wychodźców bardzo niekorzystne. Władze amerykańskie przytrzymują w porcie Nowego Jorku wszystkich obokrajowców i przepuszczają tylko tych, którzy wykażą się dostatecznymi środkami materyalnymi do utrzymania się w Ameryce.

Z armii pruskiej. Sąd wojenny w Głogowie na Górnym Śląsku, ukarał znów podoficera Luxa na półtora roku i kaprała Kwasinga na rok więzienia. Obu dowiedziono znęcania się nad żołnierzami w 110 wypadkach. Jeden z katowanych żołnierzy z rozpaczy rzucił się pod pociąg. Sąd wojenny w Wilhelmshaven skazał podoficera marynarki, Waltera, za znęcanie się aż w 297 wypadkach, tylko na sześć tygodni aresztu.

Ważne dla wychodźców do Prus. „Urząd pracy“ w Mysłowicach publikuje ważny dla wychodźców z Galicyi wyciąg z przepisów obowiązujących stręczycieli pracy w Prusiech. Oto na podstawie § 38 ustawy przemysłowej, wydanej przez ministerstwo handlu w Berlinie, książki służbowe, robotnicze i inne papiery legitymacyjne winien stręczyciel służby lub pracy, osobom szukającym zajęcia, na żądanie wydać bez zwłoki. Taki stręczyciel też nie może zatrzymywać lub wykonywać prawa zastawu na przedmiotach, które z powodu stręczenia pracy dostały się w jego posiadanie.

Przepisy te i postanowienia są bardzo ważne dla naszych galicyjskich wychodźców, którzy zwykle w My-

słowicach wpadają w ręce niesumiennej agentów i stręczycieli, którzy niemilosiernie ich wyzyskują.

Drzewa przydrożne. Wobec znanego projektu ustawy o przymusowym obsadzaniu dróg drzewami, bardzo na czasie jest ciekawa praca o drzewach przydrożnych, ogłoszona niedawno drukiem przez inżyniera Feddersena. Najmniej korzystnym drzewem do wysadzania dróg okazuje się dzisiaj kasztan, czyli kasztanowiec, tak u nas rozpowszechniony. Niskie jego konary i gałęzie tamują ruch i przeszkadzają wysychaniu drogi, a odpadki drzewne, jakoto lupiny owocowe, łuski pączków liściowych, kwiecie, lodyżki, owoc, zanieczyszczają drogę. Niewiele lepszymi okazują się akacje, a nawet i lipy. Wedle osobnego wzoru rachunkowego, obliczono wartość drzewa przydrożnego, biorąc w rachubę koszt nabycia i sadzenia drzewka, czas jego życia aż do ścięcia, dochód z materiału po ścięciu, oraz przeciętne roczne koszty utrzymania i dochody z drzewa. Z tego obliczenia okazuje się, że jablonie i grusze przedstawiają wartość 18 koron, śliwy i wiśnie 6 koron. Wartość zaś różnych drzew liściowych nie owocowych jest ujemną, to znaczy, że dopłacać trzeba do nich, jak gdyby przedstawiały dług 2 do 7 koron.

Poczty angielskie. Z wszystkich poczt na kuli ziemskiej najwięcej poczt angielskie słyną ze sprytu i punktualności — o tem wiedzą wszyscy. Nie tak wiadomem jest powszechnie, że poczta angielską przesyłać można nawet dzieci. Ktoś chce posłać np. dziecko do szkoły. Prowadzi je na pocztę, składa opłatę, a listonosz odstawia je na wskazane miejsce. W ten sam sposób można nadać samego siebie. Ktoś n. p. chce odwiedzić swego znajomego, a nie wie którędy się do niego idzie, zgłasza się więc na pocztę, opłaca należność i zostaje odesłany do miejsca przeznaczenia. Na miejscu, zanim pozwolą mu odejść, musi podpisać kwit na podjęcie przesyłki. Angielską pocztą można też posyłać żywą zwierzyńnię; myśliwi, którzy po polowaniu zwykle chcą się zabawić, odsyłają z reguły swe psy przez pocztę.

O sprycie listonoszy londyńskich świadczy fakt następujący. Pewien jegomość nie znalazł ani ulicy, ani numeru domu, gdzie mieszkał jego znajomy. Raz jednak był kiedyś u niego i zapamiętał oryginalny dom, stojący obok mostu na Tamizie. Znalazł jednak na kartce z widokiem ów dom obok mostu i zaadresował ją tak: Pan N. N. mieszkający w domu oznaczonym krzyżykiem na odwrotnej stronie. Listonosz adresata odnalazł.

Trzęsienie ziemi nawiedziło miasto Wellington z Nowej Zelandyi. Wstrząśnienie było bardzo silne. Z ludzi nikt nie zginął, ale znaczna liczba domów, nawet silnie zbudowanych gmachów publicznych, została uszkodzona.

Dezerterzy rosyjscy w Galicyi. Jak się dowiaduje „Nowa Reforma“ z listów obywateli, zamieszkających

w nadgranicznych miejscowościach, żołnierze rosyjscy z oddziałów, załogujących w pobliżu granicy galicyjskiej, przeznaczeni do zasilania szeregów w armii w Mandżurji, zbiegają setkami do Galicyi. W powiecie cieszanowskim zbiegów przyjmują gościnnie właścianie i zatrudniają przy żniwach. Niedawno przekroczył granicę oddział żołnierzy rosyjskich w sile 27 ludzi z dwoma oficerami na czele. Przyszli bez broni. Oficerowie, zaopatrzwszy się w ubranie cywilne, odjechali natychmiast koleją. Żołnierze, zapytani o powód dezercyi, odpowiadają, że z Mandżurji dochodzą straszne wieści o krwawych bitwach, o chorobach i głodzie. Japończykom nikt nie da rady, a ranni w bitwach giną po drodze. Zresztą wojna w Mandżurji nie jest miłą wśród żołnierzy rosyjskich, którzy zdawna marzyli o wojnie z Niemcem, ale nie tam gdzieś w Mandżurji z tak strasznym nieprzyjacielem.

Zielone muszki. Z Głupszyc na Górnym Szląsku donoszą o niezwyklej zjawisku. Kiedyś przedpołudniem spadły do miasta miliony zielonych muszek, które do tego stopnia wypchnęły powietrze, iż oddychanie stało się utrudnionem. Osoby, używające przechadzki w ogrodzie publicznym i na ulicy, zwanej promenada, z przyklepionymi do ubrania muchami, pośpiesznie uciekać musiały do domu. Owady te długością swoją nie przekraczały 1 milimetra, posiadały jednak skrzydła 3 razy dłuższe, niż muchy zwyczajne.

Patryotki japońskie. W piśmie „Bystander“ pewien Japończyk opisuje szczególny zwyczaj swoich rodaków podczas wojny. W każdej świątyni można codzień widzieć kobiety, rzucające się na ziemię przed bożkami, które śpiewnym głosem zanoszą modły, a potem odcinają sobie włosy na znak, że utraciwszy męża w wojnie, są wdowami i to takimi, które już nigdy nie wyjdą za mąż. Odcięte włosy wiążą szeroką wstęgą białego papieru i wieszają u wejścia do wewnętrznej kaplicy świątyni. Wiszą one tam tak długo, aż się zbierze ilość dostateczna do uplecenia długiej liny. Taka lina z ludzkich włosów ma posiadać niezmierną siłę. Przed sławną świątynią Ikegami w pobliżu Tokio wisi lina, mająca kilka cali średnicy. Włosy, z których upleciono ją, złożyły wdowy żołnierzy, zabitych w wojnie chińsko-japońskiej.

Mieszkańcy miasta Haddon w stanie Kansas w Ameryce, mianowali burmistrzem miasta kobietę. Już podczas ostatnich wyborów na stanowisko radców miejskich obrano same kobiety. Kandydaci rodzaju męskiego przepadli, nieotrzymawszy ani jednego głosu.

W Nowogrodzie pobili się dwie pijane właścianki. W czasie bójkii jedna z nich, Marya Abrekowa odgryzła Matrenid Kriworotowej nos. Abrekowa odgryziony nos wypuła na ulicy, a policjant podniósł go jako „corpus delicti“ do spisane go w cyrkule protokołu.

Żydzi w kijowskiem. „Hacofe“ otrzymuje wiadomość że Złotopola w gubernii kijowskiej, że Żydzi ze wsi okolicznych porzucają je i sprowadzają się do miasta.

Przyczyną tego jest brak zarobku po wsiach.

Obecnie bowiem nie mogą dzierżawić małych kawałków ziemi, ponieważ właściciele większych posiadłości, o ile oddają grunty w dzierżawę, biorą jednego większego, bogatego dzierżawcę.

Dalej nie mogą pożyczać chłopom pieniędzy, bo ci mają teraz liczne instytucje kredytowe włościańskie.

Wreszcie nie mogą utrzymywać sklepików, bo włościanie sami zakładają sklepy udziałowe.

Żydzi liczą na pomoc Towarzystwa „Ica“ i chcą wyemigrować.

Zbrodniarz czy obłąkany. Z Niska piszą do dzienników lwowskich: Niedawno odstawiła żandarmerya do sądu powiatowego w Nisku niejakiego Koziares, wieśniaka z Pietropola, pow. Nisko, za podpalanie z amatorstwa. Osadzony w więzieniu śledczym do tej pory przyznał się do 10 podpałów w okolicy Niska; miał on prawdopodobnie i Rozwadów, oraz Sokółów podpalić. Opowiada, że szedł od wsi do wsi i żebrał. Gdy po dniu obliczył stan kasy ku własnemu zadowoleniu, opuszczał wioskę, nie wyrządzając nikomu żadnej szkody; natomiast skoro go z kwitkiem odprowadzono, podpalał, jak się wyrażał „ze czterech rogów“.

I dziwiono się, skąd tyle pożarów, tyle ofiar w tym powiecie, a to takie niepokazne stworzenie dla swego zadowolenia szerzyło strach i pożogę.

Od przytrzymania tego opryszka ucichło o pożarach, a on odpowie za czyny, których dokonał, i za usiłowane morderstwo, przychwycony bowiem przy ostatnim podpaleniu przez własnego ojca, przebił go nożem. W każdym razie nie jest jeszcze stwierdzonem, czy uwięziony Koziares istotnie jest takim niezwykle zbrodniarzem, czy też niepoczytalnym, który przyjmuje na siebie odpowiedzialność za przestępstwa niepopelnione.

Zderzenie się pociągów. Z Drezna donoszą, że pomiędzy stacyami Zittau i Oybin zderzyły się pociągi osobowe. Obydwie lokomotywy i 6 wozów zostało bardzo silnie uszkodzonych. Pomiedzy podróżnymi powstał szalony popłoch, utrudniający ratunek. O ile na razie obliczono, 7 osób odniosło ciężkie uszkodzenia ciała, a mianowicie doznało złamania nóg, lub pęknięcia czaszki. Z pośród służby kolejowej ranne są 3 osoby. Powodem zderzenia się pociągów była ta okoliczność, że pociąg z Dettersdorf odszedł wcześniej. Tamtejszego urzędnika ruchu uwięziono i oddawiono do sądu.

Nauka nie idzie w las. System gwałtów i zdzierstwa, wytworzony przez carskich czynowników, urobił w Rosyi nader podatny grunt dla wszelkiego rodzaju

wyzysku ze strony ciemnych jednostek, naśladowujących robotę sług tronu. Strach ludności przed urzędnikiem jest tak wielki, że wystarcza podać się za przedstawiciela władzy, by mógł swobodnie sięgać do kieszeni zabukanego, ciemnego „muzyka“. Nie ulega wątpliwości, że wojna obecna daje czynownictwu znakomitą okazję do obdzierania chłopów pod pozorem zbierania składek na rozmaite carskie wydatki. Korzystają przytem i złodzieje nieuprząstwowieni. Przecież nieszczęśliwy rab nie ośmieli się spytać takiego „pana“ o dowód, że jest upoważniony do zbierania ofiar. Stwierdzają tego rodzaju wypadki pisma rosyjskie.

„Kijewskie Otkliki“ donoszą o handlu kartami pocztowymi, sprzedawanymi rzekomo na korzyść Czerwonego krzyża. Przekupnie włóczą się po wsiach i zmuszają włościan do nabywania świstków, przy czem nie ograniczają się braniem pieniędzy. Kto nie może zapłacić srebrem, musi dać coś ze sprzętów. Jak zapewnia „Mir Bożij“, w pewnej wsi zjawili się oszuści w jakiejś chlopki, która w majątku posiadała tylko 50 kopiejek. Ponieważ nie uznali tej kwoty za dostateczną „ofiara“, rozkazali dodać sobie płótna, które wnet odsprzedali miejscowemu sklepikarzowi. Wyzyskiwacze ci przeważnie są włościanami.

Nauka nie idzie w las, a warunki sprzyjają.

Cholera w Rosyi poczęła grasować w okręgu zakaspijskim wśród merwskiego garnizonu. Cholerę do Merwu przeniosła „sotnia“ kozackiego pułku, obozująca poprzednio w Aschabadzie, gdzie zanieślono ją z Mechrzedu z Persyi. Z powodu wzmożenia się epidemii w tej miejscowości, statki wypływające z Krasnowodzka muszą udawać się na kwarantannę do Baku.

Z Petersburga donoszą, że miasto Merw ogłoszono urzędownie, jako zakażone cholerą.

Pijaństwo u zwierząt. Falszywy to pogląd, że tylko ludzie lubią się podniecać alkoholem, a że zwierzęta są „abstynentami“. Uczni przyszli do przekonania, że i czworonogi skwapliwie nadużywają napojów wysokowych, jeśli się im ich dostarczy. Nieraz też człowiek, chętnie widzący obok siebie towarzysza nałogu, wprowadza weń ulubione zwierzę. Wiadoma to rzecz, że niejeden pies studenta niemieckiego podziela zwyczaj swego pana — i że nie czyni tego niechętnie. W Jenie znano psa z góry św. Bernarda, który nigdy nie tknął piwa pilzneńskiego, a z lubością pijał monachijskie. „Przedwcześnie zmarły“ w Paryżu przed miesiącem, sławny „gienialny“ szympan (małpa) „Konsul“, odznaczał się wielkiem znawstwem win i cygar. — Alkoholikami mogą być też inne stworzenia, a badaniom nad tą wadą poświęcają profesorowie niemieccy, Brinkmann i Kolbe, dwie rozprawy w poważnem czasopiśmie przyrodniczem. Opowiadają oni dziwne rzeczy!

Gniazdo os, zamknięte w klatce, karmiono stale wodą i cukrem; posilały się tem zazwyczaj spokojnie,

siadając po kilka tylko na miseczce. Pewnego dnia dolano do wody nieco spirytusu. Zaledwie miseczkę wstawiono do klatki, wszystkie rzuciły się razem na napój i piły chciwie aż do nieprzytomności. Nadużywszy alkoholu, zupełnie jak niecywilizowani ludzie, osy popadały na ziemię, pod miseczkę, koło niej, nawet do niej, tak, że niektóre musiano ratować od utonięcia. Po długiej dopiero chwili, zaczęły przychodzić do siebie i zabrały się do zwykłej pracy, ale czyniły to leniwie, z ociężałością.

I ptaki nie są wcale abstynentami. Koguty pożerają łapczywie chleb napojony wódką, a pijaństwo objawia się u nich, jak u ich panów: pieją ciągle i wymachują skrzydłami, silnie podniecone; po chwili przychodzi przygnębienie. — Nasze zwierzęta domowe: bydło rogate, nierogacizna, owce i kozy, chętnie zjadają wytloki winne i upajają się z zamięłowaniem. Największymi pijakami są: niedźwiedź i słoń. W ogrodach zoologicznych, u niedźwiedników wędrownych, można się nieraz przekonać o tym zgubnym popędzie gruboskórca i „misia“. Ten ostatni ma podobno wypijać niesłychane ilości wódki.

Skutki alkoholu na rozmaite zwierzęta są prawie zawsze takie same. Zachodzą tylko różnice co do ilości. Stary dragon pruski z wojny 1870 opowiada, że dwa konie raz tak się rozchorowały z przepicia, że musiano je zastrzelić. Zakradły się do otwartej beczki z winem, pozostawionej niebacznie w stajni, wypily ją do dna i dostały niezwyklejszego *delirium tremens*.

Ród koci zalicza się do najenotliwszych abstynentów, nie znoszących alkoholu. — Profesor Kolbe nie przyznaje im tej zalety. Twierdzi on, że nie tylko szukają one środków podniecających jak baldrian i owoc kamforowy, ale przy sposobności raczą się i alkoholem. Przyrodnik niemiecki Zoll, opierając się na zapiskach historyka rzymskiego Avianusa, zapewnia, że i wielkie koty, pantery na przykład, łowiono w starożytności, posługując się alkoholem. „Wyszukuje się — powiada Rzymianin — małe źródło w pustyni, do którego pantery schodzą się codziennie. Strzelcy noszą tam dwadzieścia dzbanów mocnego wina, wlewają do kotliny źródlanej i ukrywają się w pobliżu. Gdy słońce żarzące stanie wysoko na niebie, schodzi się dziki zwier, dręczony pragnieniem, nęcony wonną wilgocią i chciwie plyn wciąga. Poczem plasają i tańczą wesoło, kładą się sennie wokoło, opuszczają głowy, zasypiając, jakoby nieżywe. Wówczas strzelcy łatwo je pętają“.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

W jaki sposób nadać kołnierzykom i mankietom giętką sztywność i polysk. Stosunek na 6 kuszul, 6 kołnierzy i 6 par mankietów. Za 3 centy boraksu wyraźnie w grudkach, gdyż ten w proszku jest nie-

dobry, zawiera bowiem często mąkę i inne domieszki, które nie tylko nie dają polysku, lecz nadto lepią się pod żelazkiem. Boraks rozpuści się w $\frac{1}{4}$ litra gorącej wody, (nie powinna się jednak gotować); gdy się już boraks rozpuścił, wylać to na czystą, nietłustą miskę lub miednicę aby trochę przychłódl, gdy jest już tylko letni ale jeszcze nie całkiem zimny, dodaje się jeden pakiecik za 3 centy krochmalu brylantowego Bażanta. Proszek ten trzeba dobrze ręką rozmieszać i zostawić pół godziny mieszając częściej, jednak na to należy uważać, aby plyn zrobiony z boraksu i proszku nie był za gęsty i spływał po rękach jak mleko, jeżeli zaś na rękach w kształcie białego sznurka obsycha, jest za gęsty i trzeba dolać tyle letniej wody, aby tylko tak jak mleko po ręce spływał. Po upływie pół godziny należy rozczyn jeszcze raz dobrze zamieszać i przeznaczone do prasowania, już czysto uprane i do suszenia krochmalone kawałki nie tylko umaczać, ale trochę przeprać, dobrze wykręcić i gładko porozkładać na suchym ręczniku lub prześcieradle, następnie zawinąć w takowe i zostawić znowu pół godziny, potem przystępuje się do prasowania. Dłużej jak pół godziny czekać nie należy, gdyż bielizna zanadto by przeschnęła.

Na gładko jak zwykle rozścielonym kocyku, rozkłada się prasownik a na prasowniku kawałek (tak pół metra) białej flaneli, bierze się kołnierzyk, kładzie na prasowniku i wyciera się go trochę białą, czystą i suchą szmatką po obu stronach, potem kładzie się kołnierzyk na flaneli i prasuje najpierw po stronie prawej, należy na to uważać, gdyż uprasowawszy najpierw po stronie lewej, nie otrzymamy ładnego polysku. Więc najpierw po prawej, potem po lewej i znów po prawej i znów po lewej, dopóki nie będzie suchy, wtedy się go odkłada i bierze drugi i t. d. Gdy już wszystkie kołnierze poprasowane i należyście wychłódlły, gdyż ciepłych glansować nie można, przystępuje się do glansowania.

Chcąc aby polysk był silny, to potrzeba do tego koniecznie kawałek twardej tektury.

Na kocyku w miejsce flaneli, kładzie się teraz kawałek twardej, brązowej tektury, potem bierze się ale dla pewności ten kołnierzyk, który był najpierw prasowany, kładzie się go na tekturze, macza się gąbkę lub czystą białą szmatkę w czystej i zimnej wodzie, wyciska się szmatkę cokolwiek i zwilża nią lekko cały na tekturze położony kołnierzyk po stronie prawej, potem się go prędko gorącym żelazkiem już nie wzdłuż ale w poprzek prasuje a raczej okrągłym kantem żelazka t. j. tym brzegiem, gdzie jest otwór żelazka, w który się duszę wkłada, samym tylko brzegiem żelazka silnie, miejsce w miejsce kilka razy i to w poprzek kołnierza przeciera. Po lewej stronie nie należy już następnie prasować i tyle tylko żelazkiem przeciągnąć, aby kołnierzyk zaokrąglić.

Jeżeli się komu nie uda od pierwszego razu ładnie bieliżnę uprasować, to niechaj się nie odstrasza, ale dalej prasuje a z czasem po kilkorazowym prasowaniu dojdzie do wprawy. W braku krochmalu brylantowego można wziąć i krochmal ryżowy, trzeba tylko wziąć więcej boraksu, głównym warunkiem jest gęstość rozczynu i dokładne przestrzeganie tego przepisu przy prasowaniu i glansowaniu. Proszek Bażanta nie stanowi warunku.

Wszystkim tym osobom, które życzyły sobie aby im przelać *Przodownicę*, piśmko to zostało wysłane pod wskazanymi adresami.

Sz. St. H. wzorki do haftu równocześnie z tym numerem wysyłamy, jak również *Sz. B. W.* wzorki do roboty szydełkowej.

Dziełko o hodowli królików kosztuje 4 korony; dostać je można w księgarni K. Wojnara w Krakowie, ul. Szewska 13.

Sz. A. Kucharczykowi odpisałyśmy, wierszyki nas doszły. Dziwi nas, że listu *Sz. Pan* nieotrzymał.

Prenumeratę można przysłać w markach pocztowych lub przekazem.

Wzory krojów krawieckich przesłaliśmy *Sz. Panu J.* później, jak również adres gdzie je nabywać można.

Sz. P. Moczydłowski przelał 2 korony na pomnik w Lanckoronie, za które składamy serdeczne podziękowanie.

Widoki gór i okolic ojczytych dostać można, trzeba jednak żądając tychże podać dokładny wymiar stereoskopu.

Opis uroczystości Maryańskich we Lwowie opisujemy w numerze listopadowym.

Z Zarządu Towarzystwa prawnej ochrony podatników we Lwowie. C. k. Starostwo we Lwowie rezolucją z dnia 17 maja 1904 r. L. 16.952 odmówiło Kółku rolniczemu w Bilce Królewskiej wydania karty przemysłowej na handel towarów mieszanych, sprzedaż słodzonych napojów spirytusowych i drobnej sprzedaży nafty, a zarazem wzbronilo wykonywania tegoż przemysłu.

Nakazem płatniczym z dnia 31 maja 1904 roku L. 7.803 wymierzyło też c. k. Starostwo we Lwowie Kółku rolniczemu w Bilce Królewskiej podatek zarobkowy na r. 1904 w kwocie 2 Kor. 53 hal. od sprzedaży trunków w zamkniętych naczyniach, które Kółko przy handlu towarów w mieszanych prowadzić zamierzało, jednak wobec poprzednio przytoczonej rezolucji c. k. Starostwa, prowadzić nie mogło.

W tym stanie rzeczy wniosło też Kółko za pośrednictwem Towarzystwa prawnej ochrony podatników rekurs do krajowej Dyrekcyi Skarbu.

Wezwaniem płatniczym z dnia 31 grudnia 1903 r. do B. 2917/904 wezwał c. k. Urząd podatkowy w Z. Maryę D., włościankę z T., do zapłacenia należności

prawnej od kontraktu kupna i sprzedaży w r. 1903 zawartego w kwocie 10 Kor. 20 hal. Uważając wymiar ten za słuszny, nie wniosła Marya D. w przepisany terminie 30-dniowym żadnego rekursu przeciw temu wymiarowi, wskutek czego wymiar ten stał się prawomocnym. Niepomnie jednak zdziwiła się, gdy przyszedłszy dnia 16 czerwca b. r. do c. k. Urzędu podatkowego w Z. celem zapłacenia powyższej należności, powyższą należność dotyczącą urzędnik jej podwyższył, dopisując do powyższej kwoty jeszcze taką samą kwotę 10 Kor. 20 hal. i poprawiając nakaz płatniczy na sumę 20 Kor. 48 hal.

Jak prawomocność jest wynikiem upływu pewnego czasu i po upływie pewnego czasu, wymiar choć merytorycznie nie uzasadniony, nie może być więcej przez stronę prawnie zacepiony, podobnie być winno bezwątpienia i z władzą skarbową, zwłaszcza, że uzyskanie charakteru prawomocności pierwotnego nakazu płatniczego wskutek upływu terminu 30-dniowego uniemożliwia stronie zupełnie bez jej winy użycie środków prawnych. Towarzystwo prawnej ochrony podatników wniosło też w tej sprawie odpowiednie zażalenie do krajowej Dyrekcyi Skarbu.



Przypomnienie. Kończy się już lato, jesień nadchodzi — a z nią ostatni kwartał tego roku. — Kto więc do końca roku gazetki jeszcze nie opłacił, niech już przesyła zamówienie z opłatą na czas dalszy.

Zaczną się wkrótce długie wieczory — będzie czas najlepszy do czytania i rozmów z domownikami i sąsiadami. Ludzie dobrzy a rozumni nie marnują tych chwil odpoczynku po pracy na ziewanie, na drzemkę bezmyślną, ani na zrzędenie, ani na swary, kłótnie, ani na obmowę, plotki, ani na żadne takie gadanie, co jest tylko jakby mieleniem plew. Ludzie dobrzy i rozumni obracają ten czas na przysporzenie korzyści duchownych i cielesnych, więc częściej na zarobki, a częściej na czytanie. Rozmawiają też z krewniakami, sąsiadami i znajomymi o rzeczach ciekawych a prawdziwych, ważnych i pożytecznych. Nakłaniają i drugich, żeby czasu wolnego i życia nie marnowali, lecz żeby czytali rzeczy dobre i prawdziwe, jeżeli czytać umieją — a nieumiejących zachęcają do nauki czytania. Właśnie w jesieni i zimie będzie na to wszystko pora najlepsza; a teraz czas zamawiać gazetę — zachęcać drugich do jej zamawiania — książki i elementarze dla takich ludzi, którzy ich nie mają.

Administracja.

WŁADYSŁAW REYMONT.

CHŁOPI.

POWIEŚĆ. — (W skróceniu.)

(Ciąg dalszy.)

— Jakże!... dwór stawiał we Woli!
— Majster jucha, bańki nosem puszcza! —
rzekł któryś z parobków.

— A do dzieuch jucha tak sposobny, że
i trzech kwartałów czekać nie potra.

— Jagustynka to nikomu dobrego słowa
nie dadzą — zaczęła jakaś dziewczyna.

— Pilnuj się, bym o tobie nie chciała
co rzec...

— Wiecie?... pono ten stary wędrownik
już przyszedł?

— Będzie dzisiaj u nas! — zawołała Józia.

— Bez całe trzy roki bywał we świecie.

— We świecie? Był ci u Grobu Jezusowego!

— Hale! Widział go tam kto! Cygani
jucha, a głupie wierzą; tak samo i kowal opowiada o zamorskich krajach, co ino w gazetach wyczyta...

— Nie gadajcie, Jagustynko: sam Dobrodziej przytwierdzał do mojej matki.

— Prawda, że to Dominikowa jakby drugą chałupę ma na plebanii i zawždy wiedzą, czy księdza brzuch boli, lekująca przeciech...

Jagna zmilkła, ale poczuła dziwną ochotę, choćby tym nożem ją zgnać, bo cała izba zatrzęsała się śmiechem; tylko Ulisia Grzegorzowa nachyliła się do Kłębowej i spytała:

— Skąd on jest?

— Skąd? Ze świata szerokiego, a bo to kto wie! — Nachyliła się nieco, wzięła główkę na dłoń i obcinała liście i mówiła szybko, coraz głośnie, żeby i drugie słyszały: — Co trzecią zimę przychodzi do Lipiec i u Boryny zakłada kwatę. Rochem kazał się przezywać, choć mu ta pewnie i nie Roch. Dziad jest i nie dziad, kto go tam wie... ale pobożny człowiek i dobry... ino mu tej obrączki nad głowę, a byłby rychtyk kiej te świątki na obrazach. Różańce ma na szyi, obcierane o Grób Jezusowy... Obrazki dzieciom daje święte, a jak niektórym, to i takie z królami, co to z naszego narodu przódzi wychodziły... I książki pobożne ma, i takie, w których stoi wszystko, i historye różne o świecie... czytał

je przecież mojemu Walkowi, to i ja, i mój słuchalim, ino przepomniała, bo i wymiarkować ciężko było. A nabożny taki, że z pół dnia przekłęczy drugi raz pod krzyżem, albo i gdzie w polu, a do kościoła ino na mszę chodzi. Dobrodziej zapraszał go do siebie, na plebanie, to mu rzekł:

— Z narodem mi ostać, nie na pokojach moje miejsce.

— Miarkują też wszyscy, że nie musi być z chłopskiego stanu, choć mówi jak wszystkie, i nauczny jest, to pewno; jakże z żydem gał po niemiecku, a we dworze w Drzazgowej, to z panienką co była la zdrowia w ciepłych krajach, też rozmawiał się po zagranicznemu... A od nikogo nic nie weźmie, tyle co tę kapkę mleka i kromkę chleba, a i za to jeszcze dzieci uczę... Powiadają... ale...

Kłębowa urwała z nagła, bo dziewczyny buchnęły śmiechem i aż się pokładały: śmieli się z Kuby, którego niósł w płachcie kapustę i, pchnięty przez któregoś, przewalił się na środku jak długi, aż się kapusta rozleciała po izbie, a on wstawał z trudem i co się już zebrał na czworaki, to padał znowu, bo go popychali.

Józia go obroniła i pomogła wstać, ale też pomstował, pomstował...

I zwolna rozmowa przeszła na co innego.

Antek zaś szatkował nad wielkim cebrem przy kominie; rozdzielany był ze szmat, że ostał ino w koszuli i w portkach pasiatych z wełniakowego sukna, rozczzerwienił się, łeb mu się rozwichrzył i pot gęsto pokrył mu czoło; tęgo robił, ale śmiał się ciągiem i przekpiwał, a taki był urodny, że Jagna jak w obraz poglądała, a i nie ona jedna tylko... a on przystawał, żeby odetchnąć, i wesołym wzrokiem tak patrzył na nią, aż spuszczała oczy i czerwieniła się.

Ale nikt tego nie widział prócz Jagustynki, a i ta udawała, że nie patrzy, jeno sobie w głowie układała: jak to opowiedzieć na wsi?

— Ale! siedzita i nie wiecie co się stało! — zawołała, wpadając zadyszana, Nastusia Gołębianka, Mateusza siostra.

Podniosły się ciekawe zapytania ze wszystkich stron i wszystkie oczy spoczęły na niej.

— A to młynarzowi ukradli konie!

— Kiedy?

— Ze trzy pacierze temu. Dopiero co Jankiel mówił Mateuszowi.

— Jankiel ta wie wszystko zaraz, a może i niecoś przódzi.

— Takie konie, kiej te hamany!

— Ze stajni wyprowadziły. Parobek poszedł do młyna po obrok, wraca: a tu już ni koni, ni uprząży niema, a pies w budzie struty, no!

— Na zimę idzie, to się już różności zaczynają.

— A bo kary na złodzieiów niema żadnej. Hale! dużo mu robią! wsadzą do kreminalu, dadzą jeść, w cieple się wysiedzi, z kolegami wypraktykuje, że kiej go puszcza, to jeszcze lepszy jest złodziej, bo nauczny.

— Gdyby tak mnie konia wyprowadzili, a złapałbym, tobym ubił na miejscu, jak psa wściekłego! — wykrzyknął jeden z parobków.

— A bo ino tegoby wartał taki człowiek!... bo ino głupie szukają sprawiedliwości we świecie! Kuźden ma prawo dochodzić swojej krzywdy.

Ale te wywody przerwał Boryna, wchodząc do izby.

— Tak se na ucho gadacie, że aże po drugiej stronie stawu słyhać! — zawołał wesoło, czapkę zdjął i witał się ze wszystkimi po kolei.

Musiał mieć już w głowie, bo czerwony był jak ćwik, kapotę rozpuścił i głośno a dużo gadał, czego zwyczajny nie był. Chciało mu się przysiąc do Jagusi, ale się wagał, że to tak na oczach wszystkich nijako, póki zmówiona z nim nie jest; to ino wesoło pogadywał i rad na nią patrzył, taka piękna dzisiaj była i wystrojona w chustkę od niego.

Zaraz też Witek z Kubek przynieśli długą ławę przed komin, Józia okryła ją czystym płótnem i zaczęła ustawiać miski i łyżki do jedzenia.

A Boryna przyniósł z komory pękata, dobrze półgarncową butlę okowitki i jął nią obchodzić wszystkich po kolei i przepijać.

Tylko Jagna uparła się i nie piła mimo prośb i namawiań.

— Nawet i smaku gorzałki nie znam i nie ciekawam — powiedziała.

— No, siadajcie, ludzie kochane: co jest, to zjemy! — zapraszał stary.

Obsiedli po ceregielach różnych, jak to obycaj każe, ławę i zwolna jedli, a raz w raz pogadywali.

Z misek dymiło parą, że przesłoniła wszystkich jak chmurą, z której tylko skrzybot łyżek, mlaskanie i to słowo niektóre słyhać było.

Jadło zwarzyli wybrane, aż się dziwił jeden, bo i ziemniaki z rosółem były, i mięso gotowane z prażoną jęczmienną kaszą, i kapusta z grochem, rzetelnie ugościli, po gospodarsku, a do tego Boryna ciągiem zapraszał

a przymuszał, a Józia ze swojej strony i Hanka pilnowały, by zasie dolać i dołożyć...

Potem rumor się uczynił, kto wychodził przewietrzyć się i kości przeciągnąć, kto zaś spojrzeć na niebo, czy się nie przejaśnia, a jak parobki, to żeby na ganku pogzić się z dziewczętami.

A Kuba siadł na progu z miską na kolanach i jadł, aż mu się uszy trzęsły, nie zważając na Łapę, którego przypominał się różnie, a widząc, że nic nie wskóra, wysunął się na ganek do psów, co z ludźmi pościagały i gryzły się o kości wyrzucone przez Józję.

Wzięli się akuratnie z powrotem do roboty, kiedy Roch stanął we drzwiach z pochwaleniem.

— Na wieki! — odrzekli chórem.

— Spiesz się flisie, póki jest na misie. Spóźniłście się, ale jeszcze dla was będzie — zawołał Boryna, przysuwając mu stołek do komina.

— Mleka i chleba daj mi Józia, a wystarczy.

— Jest jeszcze i zdziebko mięsa — ozwała się nieśmiało Hanka.

— Nie, Bóg zapłać; mięsa nie jadam.

Chłopak Rafałów, co to był z wojska powrócił, przyniósł skrzypce, nastroił i zaczął przegrywać pieśnię różne.

Cichość się uczyniła, deszcz tylko zaciął w szyby, i psy jazgotały przed domem, a on grał wciąż i coraz to coś nowego, przebierał ino palcami i smykem tak ciągał po strunach, że nuta jakby sama wychodziła... pobożne pieśnię grał, jakby la tego wędrownika, którego oczu z niego nie spuszczał, a potem znowu inne, światowe całkiem, te o Jasiu jadącym na wojenkę, co ją to często dziewczyny zawodziły po polach... a tak żarliwie wyciągał nutę z onych drewulek, aż mróz szedł po kościach wszystkim, a Jagusi, że to czujna była na muzykę, jak mało kto, łzy ciurkiem pociekły po twarzy.

— A przestań, bo Jagusia płacze! — zawołała Nastka.

— Nie... to ino tak... ozbiera mnie zawdy granie... nie... — szeptała zawstydzona, kryjąc twarz w zapasce, i śpiesznie się wycierała.

Rozchodzić się już mieli, kiedy wszedł wójt z sołtysem: obchodzili chałupy, żeby jutro, po dług rozkładu, wychodzili na szarwark, na drogę za młyn, rozmytą przez deszcze.

Ale wójt przódzi, skoro jeno wszedł, rozłożył ręce i wykrzyknął do kobiet!

— Same najpierwsze dziewczyny jucha stary se zwołał!

Jakoż prawdę rzekł, bo były same gospodarskie córki, rodowe i z wianem.

Boryna gospodarz był przecież pierwszy na całą wieś, to jakże, dziewczki służebne, komornice albo biedotę taką, co to w dziesięcioro wisi u krowiego ogona, zwoływałby do siebie i zapraszał!

Wójt pogadał ze starym na osobności, ale tak cicho, że nikt nie usłyszał, pośmiał się z dziewczynami i poszedł rychło, bo jeszcze całe pół wsi zwoływać miał na jutro.

Wkrótce też zaczęli się rozchodzić wszyscy, że to późno było, a i kapusty prawie już zbrakło do obierania.

Boryna dziękował wszystkim i każdemu z osobna, i co starszym kobietom otwierał drzwi i wyprowadzał.

Jagustynka na odchodnem rzekła w głos: — Bóg zapłać za ugoszczenie, ale dobrze całkiem nie było.

— Hale! no...

— Gospodyni brak wam, Macieju, a bez to nijakiego porządku nie może być.

— Co robić, moiście wy?... co robić?... zrządzenie już takie boskie, że pomarła.

— Mało to dziewczyn! Adyć w kaźden czwartek ino wypatrują po wsi, czy swaty od was nie idą do której... — mówiła chytrze, ciągnąc go za język, ale Boryna choć i miał już odpowiedź, podrapał się tylko po głowie i uśmiechał, a szukał bezwiednie oczyma Jagusi, która zabierała się do wyjścia.

Na to czekał i Antek, przyodział się nieznacznie i wyszedł naprzód.

Jaguś sama szła do domu, bo inne mieszkwały w drugiej stronie, ku młynowi.

— Jaguś! — szepnął, wychylając się z ciemności z pod płotu jakiegoś.

Przystanęła, poznała głos jego i poczęła zdziębło dygotać.

— Odprowadzę cię, Jaguś! — obejrzał się, noc była ciemna, bez gwiazd, wiatr huczał górą i miotał drzewami.

Objął ją wpół mocno, i tak przytuleni do siebie, zginęli w ciemnościach.

Nazajutrz gruchnęła po Lipcach wieść o Borynowych z Jagną zmówinach.

Że to roboty było niewiele i nie pilne, a ludzie siedzieli po chałupach, bo drogi były do cna rozmiękły, to pogwarzono o tych zmówinach po chałupach wszystkich. Wieś całą ogarnęła ciekawość, na czem się to skończy; spodziewali się z góry, że nastąpią bitki, a procesowania, a historye różne. Jakże?... znali Borynową gwałtowność, że jak się zawezmie, to

i Dobrodziejowi nie ustąpi, a i Antkową hardość też znali.

Nawet ludzie spędzeni do szarwarku, na rozerwaną groblę za młynem, poprzystawali i jeli o tem zdarzeniu poredzać.

Przerzekł coś niecoś jeden, przerzekł i drugi, aż w końcu stary Kłab, że to mądry chłop był i poważny, powiedział surowo:

— Z tego padnie złe na wieś całą, baczcie ino.

— Antek nie ustąpi! jakże? nowa gęba do miski — rzekł któryś.

— Głupis, u Boryny starczyłoby i la pięciu, o działu pójdzcie.

— Bez zapisu się tam nie obejdzie.

— Dominikowa nie głupia, już ona wszystkich wyrychtuje.

— Matką jest, to jej psie prawo o dziecko stoic — rzucił Kłab.

— W kościele przesiaduje, a chytra na grosz, kiej ten żyd.

— Nie powiedaj leda co na ludzi, żeby ci ozora nie odjęło.

I tak, całe popołudnie zajmowała się wieś zmówinami, co i nie dziw, bo Borynowie byli rodowi, starzy gospodarze, a Maciej, chociaż urzędu nijakiego nie sprawował a gromadzie przewodził. Jakże, nie ukazowy był a na odwiecznych kmiecych rolach siedział, z dziada pradziada pierwszym we wsi był, rozum miał, bogactwo miał, że chcąc niechcąc, a słuchali i uważali go wszyscy.

Jeno nikt z dzieci, ni kowal nawet, o zmówinach nie wiedział, bali się do nich z nowiną biec, bych w pierwszej złości czego nie obebrać.

Więc też w chałupie Borynow cicho jeszcze; ciszej dzisiaj niżli zazwyczaj, że to deszcz był przestał padać i od rana przecierało się na niebie, to zaraz po śniadanie Antek z Kubą i z kobietami pojechali do lasu zbierać susz na opał i próbować, czyby się nie dało kołek ugrabić.

Stary pozostał w domu.

A już od samego rana był dziwnie przykry, dziwnie ześlony, że ino szukał okazji na kogoby wyrzucić niepokój i złość, jakie go rozstrzęsały. Witka sprął, że to pod krowy słomy nie przyrzucił i leżały do półboków w gnoju, z Antkiem się pokłócił; Hanke wykrzyczał za chłopaka, którego wybałkował przed dom i utylił się w błocie; nawet na Józkę powstał, że to się długo guzdrała, a konie czekały na nią.

Wkrótce nadszedł wójt i poszli razem do

karczmy, aby się napić jaki kieliszek i wziąć araku na poczęstunek. Jambroży już tam był i wnet przysłał do nich, ale niedługo pili, bo Maciej ich popędział.

— Poczekam na was tutaj; odpiją, to zabierzcie kobiety i przychodźcie duchem — zawołał za nimi.

Szli mocno środkiem drogi, aż błoto się otwierało, mrok gęstniał i pokrywał świat szarem, smutnem przedziwem, w którym wieś cała zapadała, tylko gdzieś tam poczęły ze zmroków wybłyskiwać światła chat i psy naszczekiwały w opłotkach, jak zwyczajnie, przed kolacją.

— Kumotrze! — ozwał się po chwili wójt.

— Hę?

— Widzi mi się, że Boryna wyprawi sielne weselisko.

— Wyprawi, abo i nie wyprawi! — odrzekł gryźliwie, że to mruk był.

— Wyprawi! Wójt wama to mówi, to wierzcie. Ja już w tem. Wyruchtujemy taką z nich parę, że jaż ha!

— Hale... dzieci nas wyklinać będą.

— Będzie galanto: ja wójt, to wama mówię!

Weszli zaraz do chałupy Dominikowej.

W izbie było widno, zamieciono czysto, spodziewali się ich przecież.

Dziewosłęby pochwalili Boga, przywitali się kolejno ze wszystkimi, bo i chłopaki siedzieli w izbie, usiedli na przysuniętych do komina stołkach i jeli pogadywać to o tem, to o owem.

— A to ziąb, jakby już na mróz szło! — zaczął wójt, ogrzewając ręce.

— Przeciech nie na zwiesne idzie, to i nie dziwota!

— Zwieźliście już kapustę? co?

— Il... ostało tam na kapuśniku ździebko, ale teraz nie dojedzie — odpowiadała stara spokojnie i chodziła oczyma za Jagną, która pod oknem motała na młotowidło przędzę w parniki, a była dzisiaj tak urodna, że wójt, chłop młody jeszcze, spoglądał na nią łakomemi oczyma, ale w końcu zaczął:

— Że to plucha, błocko i ćma, tośwa z Szymonem wstąpili do was po drodze; przyjęliście nas godnie, ugościli dobrem słowem, to chyba co stargujemy u was, matko...

— I we świecie coś nie coś stargować można, ino poszukać trza...

— Prawdeście rzekli, matko, jeno nic nam po szukaniu, bo u was widzi się nam najlepiej.

— Targujcie! — zawołała wesoło.

— Jałowicę na ten przykład byśmy zartargowali.

— Ho, ho! drogo stoi; nie na bylejakim postronku ją powiedzie!

— Ze srebra poświęcanego mamy powrózek, a z takiego, to choćby i smok, a nie zerwie się... No, wiela, matko? — i jął wyciągać butelkę z kieszeni.

— Wiela? nie łacno to rzec! Młódka, na dziewiętnastą zwiesne jej idzie, dobra i robotna, że mogłaby jeszcze roków parę postać u matki...

— Płone to stanie, bo bez przychówku, płone.

— La drugiej to i przy matce oto nie-trudno! — szepnął Szymon.

Wójt się roześmiał głośno, a stara błysnęła oczyma i rzekła prędko:

— Szukajcie drugiej, moja może poczekać.

— Juści, że może, ale my nie najdziemy urodniejszej i u lepszej maci!

— Rzekliście!...

— Ja wójt, to wama mówię, to wierzcie. — Wyciągnął kieliszek, wytań go połą kapoty, nalał weń araku i rzekł poważnie: — Słuchajcie, Dominikowa, pilnie, co wama powiem: urzędnik jestem, i moje słowo to nie ten ptaśzek, co se pisknie, fiuknie, i tyłaś go już widział! Szymon też wiadomo kto jest, nie obieżyświat żaden, ino gospodarz, ociec dzieciom i sołtys! Miarkujcie se ino, jakie figury do was przyszły i z czem, miarkujcie!

• — Dyć wiem, Pietrze, i uważam.

— Mądraście kobieta, to i to wiecie, że prędzej czy później, a Jaguś z domu iść musi na swoje, tak już Pan Jezus postanowił, że ojce dzieci chowają la świata, nie la siebie.

— Oj prawda, prawda: ty, matko,

ceckaj, czesz, strzeż,
i jeszcze dopłać komu,
żeby wziął z domu...»

— Tak już na świecie jest, to i nie zmieni. Chyba kapkę przepijecie, matko?

— Abo ja wiem?... Niewolić jej nie będę... Cóż, Jaguś? odpijiesz?...

— I... ja ta wiem?... — pisknęła, odwracając do okna zaczerwienioną twarz.

— Posłuszna! Pokorne ciele dwie matki ssie... — dorzucił Szymon poważnie.

— W wasze ręce, matko!

— Pijcie z Bogiem, aleście jeszcze nie rzekli: kto taki: — powiedziała, bo to nieobyczajnie wiedzieć naprzd nie od dziewosłębów.

— Kto? A samci Boryna! — krzyknął, przechylając kieliszek.

— Stary! wdowiec! — wykrzyknęła, niby z zawodem.

— Stary! Nie obrażajcie Pana Boga! Stary, a sąd miał jeszcze niedawno...

— Prawda, ino że to nie jego było.

— Jakże! gospodarz taki i zadawałby się z pierwszą lepszą! Pijcie, matko.

Wypićbym wypić, ino że to wdowiec, a staremu prędzej z bręga do Abramka na piwo, to potem co? Dzieci macochę wyženą i...

— Mówili Maciej, coby bez zapisu nie było — mruknął Szymon.

— Przed ślubem hyba!

Dziewosłoby zmilki; dopiero po chwili wójt nalał nowy kieliszek i zwrócił się z nim do Jagny.

— Napij się, Jaguś, napij! Chłopa ci raimy kiej dąb, panią se będziesz i gospodynią na wieś całą. No, w twoje ręce, Jaguś, nie wstydaj się...

Wahała się, czerwieniła, odwracała do ściany, ale w końcu, przysłoniwszy twarz zapaską, upiła żdziebko i wylała resztę na podłogę.

Wtedy kieliszek obszedł wszystkich po kolei. Stara podała chleb, sól, a w końcu i wędzonej, suchej kiełbasy na przegryzkę.

Przepili parę razy z rzędu, aż oczy pojaśniały wszystkim, i języki się rozwiązały. Jagna ino uciekła do komory, bo niewiada czemu, chylił ją płacz, że aż przez ścianę słyszać było chlipanie.

Stara chciała do niej biec, ale ją wójt zatrzymał.

— I ciele beczy, kiej ją od maci odsadzają... zwykła to rzecz. Nie we świat idzie, nie na drugą wieś, to się z nią jeszcze cieszyć będziecie... Nie będzie jej nijaka krzywda, to ja, wójt, wama mówię, wiercie.

— Juści... inom se myślała zawdy: wnuczków się doczekam na pociechę...

— Nie turbujcie się, jeszcze się żniwa nie zaczął, a już pierwszy będzie...

— Pan Jezus to tylko wie przódzi, nie my grzeszni! Zapiliśmy, prawda... a mnie tak jakoś żałośliwie na sercu, kiej na pochowku.

— I nie dziwota: jedynaczka w domu, to wuju sie już za nią cni... Jeszcze żdziebko, na frasunek! Wiecie, pójdziem wszystkie do karczmy, bo mi już ano wódki zbrakło, a tam i pan młody kiej na węglikach wyczekuje.

— W karczmie to zrękowiny będziemy odprawiali?

— Po staremu, jak ojce nasi robili; ja, wójt, wama to rzekłem, wiercie.

Kobiety się żdziebko przyodziały święteczniej, i wnet wychodzili.

— A chłopaki to ostaną? Siostrzyne zmó-

winy — to i la nich uciecha — zauważył wójt, że to parobki żałośnie miny mieli i poglądali na mać niespokojnie.

— Trudno, dom na boskiej opatrności ostawię...

— Przyzwijcie ano Agatę do Kłębów, to przypilnuje.

— Agata już na żebry poszła. Zawoła się kogo po drodze. Chodźta, Jędrzych i ty Szymek, a kapoty weźta; cóż to, jak te dziadaki iść chceta, a niech się ino któren spię... to popamięta. Krowy jeszcze nie obrządzone, świni trza kartofli utłuc, baczcie o tem.

— Baczym, matulu, baczym! — szeptali trwożnie, choć chłopcy były pod powałę i rozrosłe jako te grusze na miedzach, ale słuchali się matki kiej wyrostki, bo ich żelazną ręką za łby trzymała, a jak było potrza, to choćby i po stołku, a do kudłów sięgła i po pyskach sprąła, a posłuch musiał być i uważanie.

Poszli do karczmy.

Boryna się zaraz do nich rzucił witać, a całować, a obłapiać z gorącością, że to miarkował, iż Jaguś, jakby już jego.

— A Pan Jezus rzekł: »Weź se robaku, niewiastę, żeby ci się, chudziaku, nie cniło samemu. Amen« — bełkotał Jambroży.

Ale, że to więcej godziny popijał, to juści, że w języku, ni nogach, mocny już był.

Zaraz też na szynkwasio Żyd postawił arak, i słodką, i asencyę, a do tego śledzie, placek z szafranem i jakieś wymyślne kukielki z makiem.

— Jedźta, pijta, ludzie kochane, braty rozdzone, kreścijany wierne! — zapraszał Jambroży. Miałem i ja kobietę, ino już całkiem nie pomnę: gdzie?... Widzi mi się, że we Francyi... nie, w Italii to było, nie... alem teraz ostał sierotą... Powiedam wam, że co starszy krzyknął: »Szlasuj!...«

— Pijcie-no, ludzie! Pietrze, zaczynajcie! — przerwał mu Boryna.

Przyniósł za całą złotówkę karmelków i wtykał je Jagusi w garście.

— Naści Jaguś, słodzuśkie są, naści!

— Hale... szkodujecie się — wzdragała się.

— Nie bój się... stać mnie na to, obaczysz sama... naści... a jużby la ciebie i ptasiego mleka nalazł... już ci ta u mnie krzywdy nijakiej nie będzie.

I zaczął ją wpoł brać, a niewolić do picia i jadła. Jagna spokojnie wszystko przyjmowała, zimno i obojętnie, jakby to nie jej zmwiny były dzisiaj. Jeny tylko jedno pomyślała: czy stare te korale, o których na jarmarku wspominał, da przed ślubem?

Często pić poczęli, jeden po drugim i na przekładankę: arak ze słodką, wszyscy wraz mówić poczęli; nawet Dominikowa podpiła se niegorzej, i nuż wywodzić różności, nuż prawić, aż się wójt dziwował, że taka mądra kobieta jest.

Synowie się też popili, bo Jambroży, to wójt przepijali do nich gęsto i zachęcali.

— Pijta, chłopaki, zmówiny to Jagny, pijta.

— Baczmy to, baczmy — razem odpowiadali i chcieli Jambroża w rękę całować.

Aż w końcu Dominikowa odciągnęła Borynę pod okno i zaraz do niego prosto z mostu:

— Wasza Jagusia, Macieju, wasza.

— Bóg wam zapłać matko za córkę — ułapił ją za szyję i całował.

— Obiecaliście zapis zrobić, co?

— Zapis! A co po zapisie?... co moje to i jej!

— Hale, żeby to śmiało oko miała przed pasierbami, żeby nie wyklinali!

— Wara im do mojego! Wszystko moje, to i Jagusine wszystko.

— Bóg wam zapłać, ale, miarkujcie ino, że to starsi żdziebko jesteście, a przecież i tak kuźden śmiertelny, bo to »śmierć nie wybiera« »dzis człowiek — jutro jagnię, równo jej popadnie...«

— Jeszczem krzepki, ze dwadzieścia roków strzymam, nie bójcie się!

— I nieboja wilcy zjedli.

— Takim rad, że mówcie: czego chcecie? Chcecie, bym zapisał te trzy morgi koło Łukaszowych.

— Dobra psu i mucha kiej głodny, my ta niegłodne. Na Jagusię po ojcu wypadnie pięć i z morg lasu... zapiszcie i wy sześć! Te sześć morgów przy drodze, gdzieście to latoś mieli kartofle.

— Najlepsze pole moje!

— Niby Jagusia to wybierek, nie najlepsza we wsi!

— Przeciech-że tak, bez to i swatów posłałe, ale bójcie się Boga, sześć morgów to karwas pola, całe gospodarstwo. Coby to dzieci powiedziały!

Jał się drapać po głowie, bo go żałość ułapiła za serce: jakże? tyle pola dać to, najlepszej ziemi.

— Moiście wy, mądrzyście i wy, że szukać, to miarkujecie sami, że zapis to ino przezpieczność la dziewczyny. Przeciech tego gruntu, póki żyjecie, nikt wama nie odmierzy i nie weźmie, a to, co jest Jagusine, co się jej po sprawiedliwości należy po ojcu, to zaraz na zwie-

sną omętre się sprowadzi, i już wasze, możecie se obsiewać... Miarkujecie, że to nie krzywda wasza, i te sześć morgów zapiszecie.

— Juści la Jagusi zapiszę.

— Kiedy?

— A choćby i jutro! Nie, w sobotę na zapowiedzi damy i zaraz pojedziemy do miasta. Co tam! raz kozie śmierć!

— Jaguś, chodź ino, córuchno, chodź! — zawołała na dziewczynę, której wójt tak coś prawił a przypierał do szynkwasu, że śmiała się w głos.

— A to ci, Jaguś, Maciej zapisują te sześć morgów przy drodze — powiedziała.

— Bóg wam zapłać — szepnęła, wyciągając do niego rękę.

— Napijcie się do Jagny tej słodziuskiej.

Napili się, Maciej ujął ją w pól i wiódł do gromady, ale mu się wymknęła i podeszła do braci, z którymi rajcował a popijał Jambroży.

Tęgo sobie podpił, że już wszyscy razem gadali, a brali się w bary, a obłapiali, a całowali, i kuźden drugiemu był bratem i przyjacielem, zwyczajnie, jak przy gęstym kieliszku.

Ino Żyd uwijał się cicho i stawiał coraz nowe kwarty i butelki z piwem, a zapisywał kredą na drzwiach, co kto stawiał.

Dominikowa wrychle się opatrzyła, że to czas już do domu iść, i jęła synków wołać, żeby się zbierali.

A w karczmie po wyjściu kobiet przycichło nieco, ludzie się porozchodzili zwolna, że ostał ino Boryna ze swatami, Jambroży i dziad zarówno ze wszystkimi już pijący.

IX.

Zbiegło dni kilka od zmówin Jagusinych.

Deszcze ustały, drogi ociekły i stężały nieco, wody spłynęły, że ino po bródach, a gdzie-niegdzie i po nizinach a łęgach, siwiły się mętne kałuże, kiej te oczy zapłakane...

Nadszedł dzień Zaduszny, szary, bezsłoneczny i martwy, że nawet wiatr nie przegarniał zeszlými badyłami, ni chwiał drzewami, które stały ciężko pochylone nad ziemią.

Bolesna, głucha cisza przynietła świat.

A w Lipcach już od rana dzwony biły wolno a bezustannie — i żałosne, rozbolały dźwięki pojękiwały po omglonych, pustych polach.

Ptactwo płynęło wciąż, aż dziw i lęk ogarniał, bo szły coraz niżej i coraz większemi stadami, że niebo pokryło się jakby sadzą rozwaną, a głuchy szum skrzydeł i krakań wzma-gał się, potężniał i huczał niby burza nadcią-

gająca... Zataczały kregi nad wsią, i jak kupa liści, porwana przez wicher, kołowały nad polami, opadały na lasy, wieszały się na nagich topolach, obsiadyły lipy przy kościele, drzewa na cmentarzu, sady, kalenice chałup, płoty nawet... a zestrąszone bezustannem biciem dzwonów, zerwały się i czarną chmurą leciały ku borom... a ostry, przenikliwy szum krzyków płynął za nimi.

— Ciężka zima będzie! — mówili ludzie.

— Do lasów ciągną: ani chybi, śniegi wnet spadną.

I wychodzili przed chałupy coraz liczniej, bo jeszcze nigdy nie widziano tyle ptactwa razem; patrzano długo, ze smutkiem dziwnym, aż zniknęły w borach. Patrzano, wzdychano ciężko, jaki taki znak krzyża położył na czole w obronie przed złem, i jęli się przyodziewać do kościoła i wychodzić, bo dzwony wciąż jęczały głucho, a z drugich wsi już szli ludzie drogami, mającymi wskroś mgieł, po ścieżkach i drózkach, czerwonymi słupami.

Smutek przejmujący padł na wszystkie dusze, jakaś dziwnie bolesna cichość omotała serca, cichość rozpamiętywań żałośliwych i wspominek o tych, którzy byli odeszli tam, pod te brzozy zmieszone, pod te czarne pochylone krzyże.

Wieś cała była jakby zatopiona w ciężkiej, żałośliwej ciszy, jeno jęklive prośalne śpiewania dziadów z pod kościoła dochodziły czasami.

I u Borynów ciszej było niżli zazwyczaj, chociaż tam we środku siedziało piekło przytające, gotowe za lada czem wybuchnąć.

Jakże!... dzieci wiedziały już o wszystkim.

A wczoraj, w niedzielę, wyszły pierwsze zapowiedzi starego z Jagusią.

W sobotę to jeździli do miasta, gdzie u reagenta zapisał Boryna sześć morgów Jagusi... Wrócił późno i z twarzą podrapaną, bo że to był ździebko napity, to już na wozie chciał być Jagnę brać, ale tyła wziął, co pięścią a pazurami mu dały.

A w domu z nikim nie mówił, choć i Antek ciągiem nasuwał mu się na oczy, ino zaraz legł spać, jak stał, w butach i kożuchu, aż rano Józia zaczęła mamrotać na niego, że pierzynę błotem pomazał.

— Cichoj, Józia, cichoj! Zdarzy się to i niektóremu, co nigdy gorzałki nie pije...

Powiedział wesoło i zaraz od rana poszedł do Jagny i już tam do późna przesiedział, że próżno z obiadem i wieczrą nań czekali... I dzisiaj wstał późno, bo już dobrze po wschodzie. W najlepszą kapotę się przyodział, buty świąteczne kazał se Witkowi sadłem wysma-

rować i nowe wiechetki ze słomy przyciąć. Kuba go wygoił, a on się pasem okręci, kapeluszał nadział i niecierpliwie wyglądał przez okno na ganek, że to tam Hanka iskała chłopa, a nie chciał się z nią widzieć, aż i dopatrzył, że weszła na chwilę do izby, bo się śniadanie dogotowywało, to się chyłkiem wysunął w opłotki, i tyła go już dnia tego widzieli.

Józka cały dzień popłakiwała i tłukła się po izbie, jak ten ptak zamknięty.

Antek zaś gorzał w mękach coraz boleśniejszych i sroższych: ani jadł, ni spał, ni mógł się zająć czemkolwiek, był ogłuszony jeszcze, nieprzytomny zgoła i niewiedzący, co się z nim dzieje. Twarz mu poczerniała, że tylko oczy uczyniły się jeszcze większe i płonęły szklisto, jakby łzami skamieniałymi, zęby zacinał, żeby nie krzyczeć w głos i nie wyklinać, a chodził wciąż po izbie, to po obejściu, to w opłotki szedł, lub na drogę, i powracał, padał w ganku na ławę i siedział godzinami, zapatrzony przed się i utopiony w bólu, co w nim rósł jeszcze i potężniał.

Wieś była cicha, mimo święta, drogi były puste, karczma zamknięta, gdzieniegdzie tylko przez małe zapocone szybki błyskały światelka i płynęły ciche śpiewy pobożnych i głośne modlitwy odmawiane za zmarłych...

Z trwogą wysuwano się przed domy, z trwogą nasłuchiowano szumów drzew, z trwogą patrzano w stronę, czy nie stoją, nie jawią się ci, co w dniu tym błądzą, przygnani tęsknotą i wołą Bożą... czy nie jęczą pokutniczo na rozstajach... czy nie zaglądają przez szyby żałośnie...

A wśród ciszy, smętku, rozpamiętywań, lęku, płynął ten wieczór Zaduszek...

X.

Wieczorem Antek zaś poszedł w dół wsi, ku młynowi, a drugą stroną stawu, żeby nie przechodzić koło chałupy Jagny.

Jak zadra tkwiła mu ona pod sercem, jak zła zadra, że jej nie wyciągnąć, ni uciec od niej, ni zmódlć...

A bystre światło biło z jej chałupy, jasne i wesoly jakieś; przystanął, aby spojrzeć, ino ten jeden razik, aby choć zakląć ze złości, ale go wnet cosik poderwało z miejsca, że pognał jako ten wicher, ni się obejrzał za się.

— Ojcowa ona już, ojcowa!

Do szwagra biegał, do kowala, rady i on niejakej nie da, ale między ludźmi nieco posiedzi, a nie tam, w chałupie ojcowej...

W kuźni czerwono było od ogniska, chłopak dymał miechem zapamiętałe, aż rozżarzone

węgłe warczały i *buchały krwawym płomieniem; kowal stał przy kowadle, czapkę miał na tyle głowy, ręce nagie, skórzany fartuch, twarz osmoloną tak, że mu ino oczy świeciły się jako te węgliki, a kuł żelazo czerwone mocno, aż huczało i deszcz iskier rozpryskiwał się z pod młota i z sykiem topił się w błotnistej ziemi.

— A co? — zapytał po chwili.

— I... cóżby zaś! — odparł cicho Antek, wsparł się o wasąg, których kilka stało do okucia, i zapantryzył się w ogień.

Kowal też milczał, pracował tego, nagrzewał żelazo raz po raz i kuł, dzwonił do taktu młotem w kowadło, to pomagał chłopakowi dymać miechem, gdy mocniejszego ognia było potrzeba, a ukradkiem poglądał na Antka, i śmiech złośliwy wił mu się pod rudymi wąsami.

— Byłeś pono u Dobrodzieja? no i co?

— A cóżby?... nie! W kościele bym to samo usłyszał.

— A chciałeś co inszego? zaśmiał się ironicznie.

— Książd przecie, uczony... — mówił usprawiedliwiając Antek.

— Uczony jak wziąć trzeba, ale nie kiej co dać komu...

Ale Antkowi już się odechciało sprzeciwiać.

— Pójdę do izby — rzekł po chwili.

— Idź, wójt wstąpi do mnie, to tam przyjdziemy! A machorka jest na szafce, zapal se.

Nie słyszał nawet, tylko wszedł do mieszkania co po drugiej stronie drogi było. Siostra rozpałała ogień, a najstarszy chłopak uczył się na elementarzu przy stole. Przywitali się w milczeniu. A potem zaczął:

— Nie ustąpię, niech mię przez moc wyćpie, do sądu pójdę, prawował się będę, a nie ustąpię! — krzyczał prawie.

— I głową muru nie przebijesz, choćbyś i brykał jako ten baran! — powiedział kowal, wchodząc do izby.

— To co zrobić? Mądre rady masz la ludzi, to poredź...

— Złością ze starym nie wygra!

Zapalił fajkę i jał mu przekładać, tłomaczyć, łagodzić i tak kręcić, aż się Antek poznał i wykrzyknął:

— Ty z nim trzymasz!

— Za sprawiedliwością jestem.

— Dobrze ci za nią zapłacił?

— Jeśli zapłacił, to nie z twojej kieszeni.

— A z mojej, psiachmać, z mojej! Dobrodziej jucha z cudzego! Dosyć już wzięłeś, to ci nie pilno.

— Tylem wziął, co i ty!

— Hale!... tyle! a statki, a szmaty, a krowę, a ileś wycygał od ojca? Baczę dobrze i te gąski, te prosiaki, i kto tam zliczy! A ciolek, co ci go dał niedawno, to nic?

— Mogłeś i ty brać.

— Złodziej nie jestem, ni ten cygan!

— A ja złodziejem jestem, ja?...

Przyskoczyli do siebie, gotowi się chycić za orzydle, ale opadli wnet, bo Antek rzekł ciszej:

— Nie mówię tego do ciebie. Ale swojego nie dam, choćbym miał skapieć.

— I.. nie tyła ci tam o ten grunt idzie, widzi mi się — rzucił drwiąco kowal.

— Ino o co?...

— Latałeś za Jagną, to ci teraz i markotno.

— Widziałeś?... — krzyknął, ugodzony jakby w samo serce.

— Są takie we wsi, co i widziały, a nie raz...

— Żeby im pomroka padła na ślepie! — szepnął ciszej, bo właśnie wójt wchodził do izby i witał się ze wszystkimi. Snadź wiedział o co się kłóca, bo również jał bronić starego i usprawiedliwiać.

— Dobrze was poił i wypasał kielbasami, to i nie dziwota, że go bronicie.

— Byle czego nie powiadaj, kiej wójt do cię mówi! — krzyknął wyniosłe.

— Wasze wójtostwo stoi u mnie tyle, co ten patyk złamany!

— Coś rzekł? co?

— Słyszeliście! A nie, to rzeknę jeszcze takie słowo, aż wam w pięty pójdzie.

— Rzeknij to słowo! rzeknij!

— A rzeknę: oto pijanica jesteście, i Judasz, i przeniewierca! A rzeknę, że za gromadzkie pieniądze balujecie, i dobrzeście za to wzięli od dworu, że dziedzic sprzedął nasz las!... A chciecie, to wam jeszcze co dołożę, ino że już tym kijakiem!... — wołał zapalczywie, porywając za kij.

— Urzędnik jestem, miarkuj się, Antek, byś nie żałował.

— A w mojej chałupie ludzi nie następuj, bo tu nie karczma! — krzyczał kowal, zasłaniając sobą wójta, ale Antek już na nic nie zważał, bo obu zwymyślał jak psy, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Ulżyło mu rzetelnie; spokojniejszy wrócił do domu, ino tem jednem markotny, że niepotrzebnie pokłócił się ze szwagrem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)